

J. I. KRASZEWSKI.



EWUNIA.

Opowiadanie z końca XVIII wieku.

TOM IV.

WARSZAWA
NAKŁADEM „ZIARNA”

—
1913

Drnk E. Szyllera, Tamka Nr. 46.

Podczaszy pragnął bardzo rozmówić się poufale z ochmistrzynią, a nie chciał ażeby to oczy zwróciło, długo więc manewrował, nim raz spacerującą z dwoma kotami po ogrodzie, niby przypadkiem napotkał.

— Cóż mi to asindzka tak samotnie w towarzystwie tylko Burka i Marmurka zażywasz świeżej aury?— rzekł po przywitaniu podczaszy.

— Panny przy robocie.

— A Ewunia?

— Książkę czyta.

— E! — bąknął stary — już bo ona bodaj nadto się zaczytuje, a kto wie w jakie tam romanse, czy banialuki. Boję się, żeby jej to głowy nie psuło.

— Nie spodziewam się — odpowiedziała ochmistrzyni — ale gdyby, uchwaj Boże, trafić się to miało, to jej sercem naprawię. Serce to złote.

— O! toć ja wiem i dlatego — rzekł ciszej podczaszy — obawiam się, aby, jak to pospolicie bywa, ładakto go nie opanował.

Ochmistrzowa spojrzała nań pytająco.

— My się, kochana pani, nie od dziś znamy — mówił wzdychając podczaszy — mam do asindzki ufność wielką, radbym z nią otwarcie o Ewuni się rozmówić.

Ochmistrzyni niezwykłością tej apostrofy zdumiona nieco, stanęła milcząca.

— Doszły mnie słuchy, nie chcę ja temu wierzyć — rzekł ojciec — że Ewunia się w tym głupim, co tu u nas często bywał, w tym Sykstusie, jakoby pokochać miała, powiedz mi asindzka, czy to może być.

Kropiwnicka pobladła.

— To nie może być! — zawołała — do są kalumnie, to plotki. Ja nic podobnego nie dostrzegłam. Ewunia ma główkę dosyć nabitą prawdą różnemi awanturami, o których nie sposób by nie słyszała, bo to po świecie chodzi, ale, żeby... żeby miała potajemnie.

— Asindźka powiadasz, że nie?

— Przynajmniej nie zdaje mi się, żeby to być mogło — rzekła ochmi-strzyni.

— A nie uważałaś że asindźka, iż od czasu jak przestał bywać, posmutniała?

Kropiwnicka jakby myśli zebrać usiłując, zamilkła trzęsąc głową.

— No, co asindźka mówisz?

— Doprawdy, sama nie wiem, co mam mówić! Zabijeś mi pan klina w głowę, aż mnie niepokój ogarnął. Prawda to, że Ewunia od niejakiego

czasu wzdycha, popłakuje po kątach, zrobiła się pobożną bardzo, czasem niecierpliwą, że jest w niej zmiana, ale ja to wzięłam za zwyczajną tęsknotę młodą... bo to rośnie, wiotkie, słabe.

— Ale zdrowa była jak łania! — zawołał podczaszy. — Hm! Nieuważała asindźka, gdy tu bywał, jak oni byli z sobą.

— Bardzo dobrze i poufale, niemal jak brat z siostrą, boć przecie krewny, pan go sam jak krewnego przyjmował. Ewunia go lubiła, o! lubiła.

— Widzisz asindźka, lubiła go! — westchnął podczaszy. — Licho mi nadało tak często go tu sprowadzać! ale któż znowu, aby pomyśleć mógł, że oczy na nią podniesie.

— I nie ma też dowodu, żeby tak było! — rzekła Kropiwnicka.

— Są dowody! — mruknął ojciec

— o! są, są! Chłopcu się śnać w głowie przewraca.

— Uważajże asindźka wszystko, pilnem okiem, wypytaj po macierzyńsku i powiedz mi.

— A jeśli w istocie coś jest, choćby dziecinne przywiązanie?

Podczaszy zaczerwieniony cały, uderzył laską w ziemię.

— Nie powinno być! nie może być! Ja na to nie pozwolę nigdy a nigdy. Gołysz, palestrancik.

Umilkła pani Kropiwnicka, podczaszy się skłonił, odeszła.

Nazajutrz po namyśle wieczornym, podczaszy córki kazał prosić do siebie do kancelarji.

Ewunia nie jak zwykle biegiem i podskokiem, weszła zwolna i pokaszlując.

— Co ojciec każe?

— E! coś mi asanna zbladłaś i kaszelek! co? czy się nudzisz? czyś chora?

— Ani jedno, ani drugie.

— No, to jeśli ty nie nudzisz się, ja, przyznaję się, za ciebie i za siebie znudzony jestem. Bywało, mie waliśmy gości, od niejakiego czasu i pies nie zajrzy. Trzeba trochę się odświeżyć, mościa panno. Myślę sprosić sąsiadów i niechbyście zatańcowali.

Spojrzał na córkę, która stała obojętna, ruszyła ramionami tylko.

— Jak się ojcu podoba.

— A tobie?

— Mnie wszystko jedno.

— Hm! Jak to może być, żeby młodej panience było to obojętnem.

Ewunia uśmiechnęła się.

— Ot, tak jakoś. Czasem człowiek wesół, czasem smutny, któż to wie dla czego?

Popatrzył ojciec na nią.

— Toś ty smutna?

— Nie, alem nie wesół.

— Hm! hm! — zakaszał stary i zabębnił palcami po stole — może tam co do serduszka się niepotrzebnie zakradło.

— Nie patrzałam! — odpowiedziała Ewunia.

— No, to zajrzyj i powiesz mi potem.

— Nie powiem — szepnęła Ewa, — tatko byś mnie zburczał może, a mnie by to nie wykurowało.

— E! e! — zaśmiał się podczaszy — nie wykurowało! Jakbyś za męża poszła, tobyś zapomniała.

— Zapewne, bo już ciż mnie ojciec nie wyda, tylko za tego, kogo w sercu mieć będę — śmiało rzekła dziewczyna.

-- A jakbyśmy się nie zgodzili?

— To poczekamy, aż się pogodzimy.

Spojrzał podczaszy, Ewunia stała niezmieszana bynajmniej, pewna siebie, na pozór chłodna, ale znać by-

ło, że z nią nie łatwa ojcu będzie sprawa.

— A gdyby, biedne, stare ojczysko, dla spokoju, dla miłości swej kazał.

— Ojciec nie każe! bo by mnie nie kochał, a ojciec mnie kocha.

— Ależ, ty, trzpiocie jakiś — począł pod czaszy — czy ty możesz znać i wiedzieć co dla twojej przyszłości dobre? Jak ci się podoba wierzciepięta, gołowas, ni z pierza, ni z mięsa, a serduszko zajmie, czy myślisz, że ja, widząc lepiej od ciebie przyszłość, pozwolę ci za niego iść?

Ewunia uśmiechnęła się smutno.

— Czyż tatko masz takie o mojem sercu wyobrażenie, że doń, jak do gospody lada pierwszy lepszy zajędzie? Serce kobiece ma też swój rozum, ma swój instynkt, i...

Stary załamał ręce.

— Dziewczynol! kto ci to takich rzeczy w głowę nabił. Skaranie Boże! przegada mnie starego sto razy.

— Bośmy o tem mówić nie powinni — rzekła Ewa — po co? dość na to czasu.

— O! przepraszam! ty go masz do zbytku, ja za mało. Mnie pilno, jam stary.

— O! o! — rozśmiała się Ewunia — tatko wcale nie stary i pilnego nie ma nic.

Zbyty tak ojciec umilkł.

— Otóż, co chciałem mówić — począł kwaśno — na przyszłą niedzielę spraszam sąsiedztwo, musimy się zabawić. Zajmijcie się tam wcześniej z Kropiwnicką, żeby nic nie zabrakło, bardzo proszę. Lepiej niech co znijdzie ze stołów, ażeby mi kto głodny nie odjechał. Wino ja sam rozrządzę i wynieść każę.

Ewunia nie sprzeciwiła się, ojciec przecież postrzegł łatwo, że się wcale nie ucieszyła, nie ożywiła, że tylko uległa jego woli.

*

*

*

Wielkanoc w tym roku była wczesna, tak, że zapowiedziana zabawa wiejska, w pierwsze piękne dni wiosenne, przypadła już po przewodach. Liście się dopiero na drzewach rozwijały, lecz przy pięknej pogodzie rosło wszystko, zieleniało, kwitło, jakby śpiesząc się i wyprzedzając. Podczaszy myślał dla rozmaiteści, dla ubawienia córki coś urządzić w nowym guście.

Właśnie naówczas słynęły warszawskie w teatrze i pałacu Radziwiłłowskim maskarady, mówiono o nich wiele. Staremu przyszło na myśl w tajemnie rozesłanych listach prosić sąsiadów, aby kto łaskaw stawił się przebrany i jeśli można, to w masce. A ponieważ w domu byłoby może i ciasno i duszno, stary wybrał za ogrodem szopę wielką, w której zwykle siano składano, drogę do niej kazał wysadzić pościnanemi brzożami i jodełkami, wysypać pias-

kiem i tatarakiem, ściany przykryć w zielone wieńce i jodły, poobwieszać lampami i cieszył się niezmiernie, iż na wsi jeszcze nic nigdy podobnego nie widziano, nad to, co on wymyślił. Że wszyscy, do których poszły zaproszenia, radzi temu byli, to pewna, panny, panie, kawalero-
wie, podobywali odwieczne kufry, posprowadzali krawców, pozasiadały jejmoście na całą noc szyjąc, układając, mędrkując, jak najpiękniej i najosobliwiej wystąpić. Podczaszego wynoszono pod niebiosa za ten pomysł szczęśliwy.

Machcewicz jak tylko list odebrał, serce go ruszyło zaraz, poleciał do Walka, u którego właśnie Szczeppek gościł.

— Wiecie co — zawołał na wstępie — szlacheckie słowo święte być powinno, przyrzekliśmy sobie, że Sykstusowi pomagać będziemy. Pomagajmyż! Okoliczność się nadarza

wyborna. Wiecie co, namówimy go, żeby przebrany jechał z nami, przynajmniej niech ją zobaczy i z nią pogada.

— A no, dobrze! dobrze! — zawołali Walek i Szczepk.— Staremu podczaszemu figla skrojemy dobrego. Ale któż Sykstusa na to namówi.

Uderzył się w piersi Machcewicz?

— Kto? ja!

Pogadali, pośmieli się, Litwinowi było pilno, siadł na bryczkę i do miasteczka popędził.

W kancelarji u Bołtuszewskiego naradzać się z Warką nie było sposobu. Poszedł tylko i zamówił go sobie do przewertowania dokumentów na wieczór. Sykstus się stawił na godzinę naznaczoną. Zaczęto od przekąski, bo bez traktamentu u nas nic się nigdy nie działo, i na sucho złe szły sprawy. Popili zieleniaczkiem.

— Słyszałeś pan, panie Warka —

rzekł Machcewicz — o zabawie w Górze? Coś osobliwszego będzie! Wystaw sobie, maskarada, wszyscy w maskach i poprzebierani, jak kto chce.

— A! to będzie bardzo zabawne!
— rzekł Sykstus, któremu serce uderzyło — bardzo zabawne. A pan tam będzie.

— Jakże nie? całe sąsiedztwo. Panna Marta ma być przebrana za żydówkę, Dydak za szczupaka, nie wiem kto mu dał tę myśl szczęśliwą, ja, myślę się wystroić za turka, a wacpan?

— Jakto, ja? — rzekł Warka — ja tam nie będę.

— Ale ba! dlaczego?

— Bom nieproszony.

— To co? nieproszony! wszyscy kto tylko znajomy to proszony, to ogólne maskarad prawo. Ty musisz być, ja cię biorę.

— Nie mogę — odezwał się War-

ka smutno — pierwsza przyczyna żem nieproszony, druga, że żadnego stroju nie mam, trzecia, że, że, nawet być tam nie chciałbym.—Spuścił oczy.

— Serce, kochanie, panie Sykstusie, nie bałamuć! żeby młody człowiek tam nie chciał być, gdzie może rajska Ewę zobaczyć, temu nikt nie uwierzy.

Warka winem popił, był czerwony jak wiśnia, ale wnet zbladł na wsk.

— Co się tyczy stroju, mój drogi—dodał Machcewicz — trafia ci się taka gratka, że ci wszyscy zazdrościć będą. Nawet gospodarz, czy cię będzie znał, czy mu się poznać nie dasz, będzie ci wdzięcznym, bo mu ozdobisz maskaradę.

— A to jakim sposobem?

— Oto słuchaj. Mam po pradziaduniu, który był takiego jak ty wzrostu, (no! i proszę cię, mnie po nim takim znoskiem uczyniła natura ma-

cocha!), po dziadusiū całą zbroję szmelcowaną, cacko! Mówię, ci... choć za piekło, że to u mnie klejnot wielki, utrzymana tak, choć dziś się w nią ustrój, tylko nie mnie, bo ja w niej byłbym jak żaba w żółwiej skorupie, ale ty! Jest to zbroja od parady, cała czarna, po niej złoty rysunek przedziwny. Wszystko do niej, począwszy od ostróg do hełmu... Hełm zamknięty kratką, na nim dwa skrzydła sokole. Do zbroi miecz takiż, toporek, pas, kaftan, słowem, ani ćwieczka, ani guziczka nie brak. Jak ty się w to ustroisz a wnijdziesz, tylko na ciebie patrzeć będą. Już zrób mi tę łaskę, niech ja się przez cię moją zbroją pochwalę.

— Wszak ci ją pan Walenty, albo Szczepan włożyć może — westchnął widocznie spokuszony Sykstus — czy to dla mnie?

— Jak ula! — zawołał Machcewicz.

— Walek przebiera się za krakowia-

ka, a Szczepek za arlekina, już mają stroje gotowe. Jak ty mnie kochasz, ja cię u Bołtuszewskiego wyproszę, jedź, i daj się namówić.

A! mój Boże! Sykstusa nie bardzo namawiać było potrzeba, dla niego Ewę zobaczyć, a jeszcze stanąć przed nią rycerzem, a może szepnąć jej słowo, najwyższem szczęściem było, o którym i marzyć nie śmiał, lecz godziło się, godziło tak wkładać do domu?

— Gdybyś mi pan dał słowo, że nikt a nikt o tem wiedzieć nie będzie, możebym się ważył, i to, do prawdy — rzekł cicho Sykstus — strach mnie bierze niezmierny!

— Czego strach! przyjedziesz ze mną, pokręcisz się, pochodzisz, zabawisz póki będzie można, i ja cię napowrót wykradnę.

— A jak mi hełmu przyłbicę każą podnieść? — spytał Sykstus.

— Pod spodem ci uszyjemy tiu-

lową, czarną maskę, zresztą, liczy tylko na mnie. Biorę wszystko na siebie. Idzie mi o to — dodał pocziwy Machcewicz — żeby moją zbroją się pochwalić.

Pokusa była za silna. Sykstus uległ. Zaklął tylko po sto razy, ażeby nikt w świecie się nie dowiedział, nikt w świecie! Machcewicz poprzysiągł tajemnicę najgłębszą.

* * *

Nadszedł tedy dzień owej zabawy wiejskiej w Górze, na którą pan podczaszy liczył wielce, że mu Ewu-nię rozbawi, a może którego z młodzieży do niej zbliży, i wspomnienia Sykstusa zatrze. Ewa jednak z obojętnością na przygotowania patrzała, i gdy cały dom był w ruchu, ona prawie do ostatniej chwili nie pomyślała prawie o stroju. Ojciec sądząc, że żywość i wesołość,

choć nieco uszczypliwa panny Marty Żyrowskiej, skutecznie oddziała na Ewunię, zaprosił ją na kilka dni do domu. Panna Marta miała już strój gotowy, znalazłszy jakiś stary sztych, wyobrażający królowę Kleopatę, według obrazu flamandzkiego, zatem bardzo fantastycznie przybraną. Co do Ewy, ta odkładała ciągle, nudziła się tem, naostatek chciała zostać zwyczajnie ubraną w białej sukience, jako domowa i gospodyni, ojciec jednak nie pozwolił. Zmuszona zająć się wymysleniem jakiegoś kostjumu, po długich wahaniach, wybrała sobie strój chłopskiej dziewczeczki, z czego znów podczaszy był niekontent i pozwolić na to nie chciał. Życzył sobie koniecznie, aby zużytkowała klejnoty babek i prababek, których było dwie pełne szkatułki; Ewa się tłumaczyła, że nie wymyśleć nie potrafi. Panna Marta łamała głowę, poddawała różne pięk-

ne rzeczy, aż naostatek zgodzono się na strój Meluzyny. Meluzyna wystąpić miała jako Nimfa, wód królowa, w białej wprawdzie sukni, przystrojonej liśćmi roślin wodnych, ale wśród nich jako królowej, przystały sznury pereł, brylantów i drogich kamieni, które z tej zieleni miały jak tajemnicze oczka kwiatów połyskać. Bursztynowe śliczne włosy rozpuszczone na ramiona i sięgające do kolan, przepleść miano wiankami liści i klejnotów. Ewuni było cudnie w tym stroju, ale go niosła ze smutkiem opuszczonej Meluzyny. Goście zaproszeni na wieczór o zmroku się zjeżdżać poczęli.

Dzień, na szczęście, piękny był bardzo, przy karczemce na gościńcu nieopodal ode dworu zostawiano dla niepoznaki konie, a poprzebierani panowie i panie przybywali pieszo. Podczaszy witał ich w ganku i prowadził przez dom i ogród uliczką do

oświeconej już, przybranej, okrytej zielenią szopy, w której rodzaj galerji pod dachem wybudowano dla muzyki, a naprędce przyklecono też okrytą galerję, która za salę jadalną służyć miała. Służby swojej i pożyczanej, snuło się drugie prawie tyle co gości. Najcudniejsze stroje poczęły się zjawiać prawie o jednej godzinie, płynąc z kolei... to pojedynczo, to kupkami. Wywoływały one oklaski, śmiechy, zadziwienia ciżby ciekawych, która przepelniała dziedziniec. Już dosyć było osób nagromadzonych w ganku, na ogrodzie i szopce, gdy nie od karczemki, ale drożyną z lasu idącą, ukazało się dwóch wolno postępujących na koniach rycerzy.

W miarę jak się zbliżali, krzyki i śmiechy zaczęły ściągać coraz więcej widzów ku gankowi, tak, że wjazd ich wyglądał na tryumfalny pochód. Było ich dwóch tylko, a raczej ry-

cerz jeden w całej zbroi i giermek za nim z tarczą.

Postrojeni byli, jak już dawno nie widziano, chyba na starych obrazach. Rycerz na suto obwieszonym dywdykiem koniu w pióra strojnym, w pełnej turniejowej zbroi... za nim ów giermek z tarczą herbową (lecz herb był osłonięty), w maseczce. Przed gankiem zsiadli oba, a ludzie podczaszego, konie zaraz wzięli. Myślano, że po nich poznać będzie można kto taki. Szkapy silne, lecz wcale nieszczególne, nikomu z tych panów znajome nie były, gości też zamaskowanych domyśleć się było niepodobna. Szczególniej pięknie wyglądał rycerz dorodny, w tak pysznej szmelcowanej zbroi, jaką się żaden dom poszczycić nie mógł, na hełmie błyszczały dwa rozpostarte skrzydła sokole.

Podczaszy był zachwycony, szczęśliwy, przejęty, nie wiedział kogo wi-

tał, ale o mało się nie rozplakał zobaczywszy tego pięknego rycerza. Giermek żwawy, mniej może zręczny i trochę przesadzisto wyglądał, ale też niczego był ubrany; kto tylko stał jeszcze w ganku, arlekin, turcy, żydki, krakowiaczy, zobaczywszy rycerza idącego z podczaszym ku szopie, pobiegli wszyscy za nim. Szedł okryty żelazem jakby mu ono nic nie ciążyło, lekko i swobodnie.

— Kto to taki?

— Kto to może być?

— Nie wiesz. Nie wiem. Ale cóż za prześliczna zbroja! — dawało się słyszeć dokoła. Wszyscy wogóle byli zainteresowani, nikt wszakże tego tajemniczego zjawiska domysleć się nie mógł. W szopie Meluzyna w całym blasku piękności, królowała ze swym strojem, obok Kleopatry dosyć nieszczęśliwie udrapowanej, w najpiękniejsze jakie mogła znaleźć materje.

Podczaszy zatem tego Lusignan'a przywiódł Ewuni przedstawić, a piękne dziewczę nie mogło się wstrzymać od wykrzyku i rumieńca, na widok tego widma jakby zromansów rycerskich, które tak lubiła, wyrwanego. Kleopatra i ona przyskoczyła do rycerza oglądać tę cudną zbroję i tarczę giermka, i wszystkie przybory nieznane, pozostałości innych wieków, innych obyczajów umarłego już świata.

Ewunia również była ciekawa jak drudzy, podbiegano, przyglądano się, chciano wyciągnąć na rozmowę ażeby poznać po głosie, ale giermek i rycerz piszczeli jakimś tonem, nieludzkim prawie, a żadna najmniejsza oznaka ich nie zdradzała.

Można powiedzieć, że rycerz odebrał wszystkim współzawodnikom urok cały, bo z niego nie spuszczano oczów. On stanął niedaleko Ewuni, którą pozdrowił, giermek za nim i po-

został sparty o słup, jakby zamyślonny. Podczaszy sam pośpieszył, zapomniawszy o innych, podał kielich wina spory, i pił za jego zdrowie. Była w tem myśl zdradziecka, miał nadzieję, że rycerz mu odpowie, podniesie przyłbicę, i odkryje twarz, lecz gdy mu podał kielich, skłonił się nieznajomy, w istocie kratkę osłaniającą lice wzniosł w górę, ale z pod niej wyjrzały tylko młode różowe usta, bo reszta była czarną osłonioną maską. Wypiwszy do podczaszego, który niespokojnie poglądał, rycerz znowu spuścił przyłbicę.

— Słuchajże, skarbniku — szepnął podczaszy do przyjaciela — jak ci się też zdaje? kto to może być?

— Ja nie wiem! nikt się domysleć nie może, kto wie! Chyba pan kasztelanic, bo ten tu jeden w sąsiedztwie słyszę ma parę pełnych zbroi, lub może komu pożyczył.

— Lecz jak ci się też zdaje?

— Wszyscy w głowę zachodzą, nikt jeszcze nie dorozumiewa się łatwo.

— A! a! niechże go tego rycerza! mospanie, przecie choćby parobka na szkapę wsadzić przyszło i za nim słać, wyszpiegujemy i dojdziemy.

Podobne rozmowy niespokojne, dawały się zewsząd słyszeć.

Ewunia niemniej od reszty pań ciekawa, może więcej niż inne, tuliła się do Kleopatry, i nie spuszczała z oka nieznajomego.

— Wiesz, że tak mu pięknie w tej zbroi, tak wygląda, jak sen jakiś, jak mara! I przynajmniej do dzisiejszych niepodobny. Jaki śliczny! jaki śliczny! Ale któż to taki?

Panna Marta patrzyła także, choć z mniejszą admiracją.

— Wiesz, że on długo tak zakuty w żelazo nie wytrzyma — szepnęła — to straszny musi być ciężar, tego chłopak ale mi go żal, bo go-

tów zachorować. Nam i tak tu duszno w lekkich sukniach, cóż dopiero jemu w tych blachach!

Dwie szczególnie postacie zwracały oczy, i uszczęśliwiały podczaszego, pan Dydak przebrany za szczupaka, z nadzwyczaj piękną łuską i skrzelikami, w których krył ręce, chodząc na ogonie rozczepionym osłaniającym mu nogi, i ów rycerz czarny. Arlekiny, turki, chłopci, żydzi ginęli przy nich obu.

Zagrano polskiego i podczaszy podsunął się ku pani podkomorzynie, która w staroświeckim pięknym stroju z aksamitek i koronek, obwieszona łańcuchami, siedziała ledwie dysząc; w tej samej chwili rycerz jakby go co rzuciło ku Meluzynie, podsunął się ku niej i podał jej żelazną prawicę. Szczupak, nie wiedząc co z sobą zrobić, zbliżył się do Kleopatry, jako do dawnej znajomej, ale ta ze strachem strzepnęła ręką—

mi i wybrała pierwszego lepszego turka. Szły dalej pary jak kto padł, jak się komu trafiło, przy wesołości i śmiechu; podczaszy, ponieważ w szopce było parno i nieco ciasno wpadł na myśl, starym obyczajem poprowadzenia tańca kołem ścieżyną ogrodową. Wychodząc, pary się jakoś porozdzielały, rycerz obejrzał się, iż trochę przyzostali od innych, schylił głowę, podniósł przyłbicę i szepnął:

— Wszak Ewa nie zdradzi!

Na dźwięk tego znanego a oddawna niesłyszanego głosu, dziewczę drgnęło, chwilę zatrzymało się, ale wnet posłyszawszy zbliżającą się Kleopatę, pośpieszyło drżące z rycerzem.

— Jakim sposobem! A! gdyby poznano — szepnęła cicho.

— Nikt nie wie, nikt poznać nie może, jam tylko przybył, ażeby powiedzieć słowo, zobaczyć, westchnąć

i uciec. Nie będę czekał do końca, wymkniemy się z giernkiem.

— A! nie! nie! bądź dłużej — żywo poczęła Ewa — proszę, każę. Dotąd się nikt nie domyśla. Ja sama nie pojmuję, jak się to stać mogło? O! jaka jestem szczęśliwa. Nie powiem, żem się domyśliła, serce mi uderzyło, coś mi mówiło, że to ty! tyś być powinien, ale, nie marzyłam o tem szczęściu.

— Droga pani, to szczęście dla mnie, ale minie jak błyskawica, a potem...

— Ewa nie zdradzi! — zawołała podczaszanka — wierz mi, i bądź spokojny, cierpliwości!

Wtem pary, ściśnięte nagle w pochodzie, zbliżać się zaczęły, Kleopatra do ucha Ewy przyłożyła usta gorączkowo, natrętnie pytając:

— Któż to? kto to?

— Nie wiem.

— Aleś mówiła z nim?

— Tak, jednak nic się dorozumieć nie mogę.

Kilka tak razy wśród ogrodu tańczący rozsypywali się i zbliżali, Sykstus mógł skorzystać z krótkich chwil i pomówić z Ewunią. Za każdym razem Kleopatra podbiegała, żeby się coś dowiedzieć i zniecierpliwiona odchodziła z niczem. Domyślna jednak, z jasnej, rozpromienionej, wesołej twarzyczki Ewuni, mogła poznać, iż rycerz miłe na niej czynił wrażenie.

Dostrzegł też ten wyraz na licu córki pan podczaszy i niezmiernie był tem uradowany, ale postanowił sobie tem mocniej odkryć tajemnicę, która osłaniała rycerza.

— To mości dobrodzieju — mówił do zdala stojącego Reformata — nie może być lada szerepetka, zbroja sama warta kilkaset czątych, a kto takie procjoza ma, ten musi mieć i coś więcej. *Ni fallor*, któryś to z

kawalerów dalszych sąsiadów, co Ewunię gdzieś najrzał. Widzisz jego-
mość, że na niej dobre uczynił wra-
żenie. Oczki się dziecku śmieją, oj
śmieją. Otóż jak to dobrze, zem ja
ten festyn wymyślił, może co z tego
wyrośnie pomyslnego.

Gula westchnął, otworzył taba-
kierkę, skupił stożkowato tabakę,
ujął w palce i rzekł, śmiejąc się:

— Rycerz, co się zowie. U nas w
klasztorze są dwie zbroje do wielka-
nocnego grobu, wcale niczego, ma-
my je od Sapiehy, pisarza W. L.,
ale się nie umywały do tej, to ca-
cko.

— A ja ci powiadam, że to kaszte-
lanic, poznaję go po figurze, żeby mi
się tylko chciał odkryć!

Do innych tanów, już rycerz we
zbroi służyć i nie mógł, uchylił się
nieco na bok, a kilka razy przesu-
wając się około niego zatrzymywała
Ewunia, potem, gdy szczupak zwró-

cił oczy ciekawych w mazurze, bo się rozdarł na dwoje i wyszły zeń nogi Dydakowe w butach ze sztylpami, po wielkich śmiechach i ucie-sze, gdy się obejrzano, a podczaszy oczyma szukał rycerza, przeląkł się już nie znajdując już ani jego, ani giermka! Nie było też przez chwilę jakąś Ewuni, ale ta ukazała się natchmiaszt, znowu.

— Ewunia! serce, gdzieżeś rycerza podziiała? — zawołał ojciec nadbiegając.

— Nie wiem, co się z nim stało — odpowiedziało dziewczę — doprawdy nie wiem. Tylko co był.

— Pewnie poszedł gdzie wytchnąć i zdjąć szyszak, boć się mógł upiec w tej zbroi.

Pobiegli do jadalni, ale go tam nie było, w ogród — ani śladu, ktoś wskazał ścieżkę ciemną, mówiąc, że wyslizgnęli się tamtędy z giermkiem, posłano pogoń, nie znaleziono.

Niespokojny gospodarz pchnął chłopaka do stajni, który wprędce po wrócił z wiadomością, że i koni tych ichności już dawno nie było. Gospodarz załamał ręce z rozpaczy.

— Wiesz Ewuniu, serce drogie — rzekł, przybiegając do córki — rycerz jak w wodę wpadł.

Ewa mocno się zarumieniała i ruszyła ramionami.

— Kiedy to z takimi ludźmi! — zawołał — kazałem strzedz, pilnować jak oka w głowie, nie pomogło nic, dali mu uciec. Ale tajemnicę tę odkryję, nie pomoże nic. Wiem i domyślam się potroszę.

— Jak to? któż? — spytała Ewa, niespokojnie chwytając go za rękę.

— Kasztelanic! — szepnął podczaszy — nikt inny być nie może. Mówię ci, zakochał się w tobie, widział w kościele i wybrał sobie ten sposób zaprezentowania się w naszym domu, choć, zawsze bym go, niepro-

szonogo, był przyjął otwartem sercem i rękami.

Ewunia się nśmiechnęła smętnie.

— Nie zdaje mi się, żeby to on był — rzekła.

Po zniknięciu rycerza, rozdarty szczupak był królem balu, upojono pocziwego Dydaka w dodatku i królowa Kleopatraskorzystała najwięcej z wesołego usposobienia jego, bo go na skraj oświadczyn doprowadziła. Ale cóż! Dydak bez zezwolenia papy i mamy, nic nie mógł sam poczynać, a pozwolenia trudno się było spodziewać. Panna Marta usiłowała go nieco podbuntować przeciw rodzicielskiej władzy, lecz szczupak zmilkł jak ryba i okazał się nieporuszonym.

W godzinę może po zniknięciurycerza, nowa nastąpiła niespodzianka, nadeszło dwóch pielgrzymów, w płaszczach czarnych z korczami i kijmi w ręku przystrojonemi w tykwy, w kapeluszach z szerokimi skrzydły

obwieszonych medalami... Jeden z nich słusznieszego, drugi zgarbiony i niskiego wzrostu, piskliwym głosem ofiarowali się wróżyć i przepowiadać, nauczysz się chiromancji od Arabów, jak mówili. Wszyscy stawiali im ręce, a prawili co im ślina do ust przyniosła. Mały przepowiedział pannie Marcie, że jak Jonasz połknięta zostanie przez rybę i ocaleje potem pod postacią młodej mężatki, wracając na świat... Starszy coś szeptał Ewuni, która się śmiała i rumieniała, ale nie chciała wyznać, co jej wyprorokowano...

Podczaszy kazał sobie też wróżyć małemu, a ten popatrzwszy mu na szeroką dłoń, rzekł:

— Wiesz pan, że nie śmiech powiedzieć, co czytam z ręki?

— No dlaczego?

— Straszne rzeczy!

— Jam nie tchórz! mów a rób, jak się patrzy.

— Pan dobrodziej masz jedynaczkę córkę.

— To nie sztuka odgadnąć! — rozśmiał się stary. — Cóż dalej?

— Podczaszanka chora i smutna, a wie pan czemu? Może ma inklinację jaką w sercu, do której się przyznać nie śmie, a waćpan jej nie odgadujesz. Oto czytam z dłoni, że pan będziesz krzyżował córki zamysły i przeciwisz się jej sercu. Niech Bóg od tego broni, bo by bardzo źle być mogło. Oto kółko, które powiada, że od pana zależy jej szczęście, a nawet życie.

Podczaszy pochmurniał, wyrwał rękę prawie gniewny.

— Także mi znachor, co palce między drzwi kładzie! — Popatrzył na pielgrzyma, który się zręcznie wyslizgnął.

Przepowiednia nie w smak poszła bardzo staremu, chmurny się oddalił, a że był nieco zabobonny, choć

usiłował z lekkich słów, wielkich sobie rzeczy nie czynić, posmutniał.

— Patrzcie! ten! — rzekł do siebie — już znać ludzie plotą, że ja córkę tyranizuję, już coś chodzi po świecie, już spenetrowali.

Byłby może zakwasił się podczaszy, lecz w tejże chwili pielgrzymów już nie stało, rzucili snać szerokie swe płaszcze, a zjawiło się dwóch kawalerów, wenecką modą, opiętą przybranych, wedle starego francuskiego autoramentu, może jeszcze z czasów Henryka Walezyusza, i ci poszli w tany. Słuszniejszy wziął Ewę, mniejszy dobrał sobie podkomorzanekę, poczęto tańcować i skakano do upadłego, aż gdy dzień się robić zaczynał, a podczaszy kazał śniadanie dawać, kawalerowie zmienili się na chwilę znowu w pielgrzymów, a pielgrzymi w tłoku wyjeżdżających i wychodzących zamieszani, gdzieś znikli. Podczaszy zu-

pełnie by był zadowolony, bo od dawna w tak różowym humorze Ewuni nie widział, gdyby nie te niepotrzebne słówka pielgrzyma, które go zafrasowały. Szczęściem był pewien, że ów kasztelanie wymarzony lada dzień się zjawi, Ewuni podoba, i Sykstusa wspomnienie zatrze na wieki.

*

*

*

Kilka dni potem sąsiedztwo owej zabawy w Górze wydychać jeszcze nie mogło. Mówiono o niej, rozpowiadano, wymyślano na ten rachunek i bawiono się jeszcze wspomnieniami szczupaka, Kleopatry, arlekina, Meluzyny, rycerzy i pielgrzymów. Panna Marta, która pozostała w Górze, znowu wróciła do kwaśnego swojego honoru i nienawiści dla mężczyzn. Winien był temu Dydak, który na ostatnim szczeblu oświadczenia utknął, a po wy-

trzeźwieniu i zrzuceniu łuski, zdawał się zapominać o zobowiązaniach, jakie w postaci ryby poczynił.

— Ja ci powiadam — mówiła Marta do Ewuni — z nimi nie można inaczej, żadnemu wierzyć, żadnego kochać, nad żadnym litości mieć nie trzeba. Wszyscy oni zdrajcy, krokodyle, krzywoprzysięzcy. Ja padam ich ofiarą, ale ty powinnaś korzystać z mojego doświadczenia, i dobrze ich męczyć. Jak się który zakocha, bez litości, drwić, pomiatać, gniesć, a nawet poszedłszy zamaż krótko cugle trzymać, o! krótko!

Ewunia śmiała się i milczała.

Mówiły wiele o rycerzach, lecz panna Marta według swojego systemu utrzymywała, że gdyby to nawet był i kasztelaniec, nie na tych bałamutów rachować niepodobna.

Podczaszy wciąż się spodziewał odwiedzin tego nieznajomego, gdy jednego ranka, stojąc właśnie w oknie

kancelarji, wychodzącem na gościniec wiodący do dworu, zobaczył tuman kurzawy, zbliżający się ku wrotom. Gdy już jadących rozeznąć było można, okazało się że owa poczwórna kolebka mniemanego kasztelanica, o którym wciąż roił, była skromnym bardzo wózkiem zaprzężonym parą koni. Powoził w saraczek ubrany czysto ale ubogo chłopak. U wrót stanęli i z wózka wysiadł młody mężczyzna, który zruciwszy biały płócienny płaszcz i otrząsnąwszy się z pyłu, powolnym krokiem począł się zbliżać ku dworowi.

Podczaszy stał, rękę przyłożył do oczów, i własnym nie wierzył zrenicom.

— To nie może być! to nie może być — powtarzał przypatrując się; a potem dodał: — Ale jak Boga kocham, to on. Cóż on tu robi? a to już śmiałość! Idzie wprost! Proszę ja kogo.

Podczaszy pobiegł ku drzwiom i oko w oko w progu spotkał się ze Sykstusem. Milczący, wryty stał jakby mu do wniścia drogę zagradzał. Sykstus zdjął czapkę, pokłonił się grzecznie i nisko, przystąpił aby pocałować w ramię podczaszego, i przywitał go bardzo pewien siebie i spokojnie. Stary nie wiedział, co mówić, radby się go był pozbyć jednej chwili, nie było sposobu, wpuścił go więc do kancelarji mruczac, niespokojny. Niepokój pochodził z tej przyczyny, że oto właśnie zbliżała się obiadowa godzina, że w domu swym dalekiego krewnego przybywającego w tej porze, nie poprosić na obiad, było niepodobieństwem, grubiaństwem, a przy obiedzie Sykstus musiał zobaczyć Ewunię i zatarte wspomnienie odświeżyć się musiało.

Wszystkie te następstwa przyjazdu niefortunnego Sykstusa, przez głowę podczaszemu przebiegły, zmieszał się.

zburzył, ale nie bardzo dał to poznać po sobie. Myślał już tylko, jakby go się pozbyć coby prędzej, nie pojmując jakim czołem śmiał przybyć i po co.

— Pan podczaszy daruje mi — rzekł skromnie Sykstus, ponawiając ukłon niski — iż ośmielam się przybyć jak do opiekuna i dobroczyńcy mojego, jak do jedyne go z krewnych, którego nawykłem za ojca uważać.

— Oto! to! to! za ojca! po co za ojca — podchwycił stary — opiekuna, opiekuna, dosyć, dosyć i to jeszcze takiego, którego się słuchać nie chce. Czegoż asindziej sobie życzysz?

— Dobrej rady łaskawej — rzekł Sykstus.

— Cóż? namysliłeś się? jedziesz do Lublina? he? to moja rada była i jest? po co darmo wodę warzyć.

— Pan podczaszy posłuchać mnie zechce.

— Ale mów już, mów, czasu niemam.

— Oto rzecz w krótkich słowach.

Podczaszy drgnął z niecierpliwości, usłyszał bowiem nagle szelest sukni kobiecej, poznał chód Ewuni, oczy zwrócił na drzwi zasępiony, a też otwierały się właśnie i bursztynowe włoski, wejrzały do pokoju.

— Po co? po co? — krzyknął ojciec — po co asindzka.

Wyrazy te żywo wyrzeczone, nie powstrzymały dziewczęcia, które wesoło wbiegło wołając:

— A! pan Sykstus.

Warka uklonił się jej nisko.

— A! jakże pan dawno u nas nie był? — poczęła Ewunia nie zważając na zmarszczoną twarz ojcowską — o! to nie ładnie tak zapominać.

— Idź no, idź, bo my tu mamy interes — rzekł chmurno podczaszy.

— Dobrze, pójdę — całując w rękę ojca, mimo jego oporu i fukania z dziecinną natrętnością poczęła Ewa — pójdę, ale oto już do stołu dają,

niechże ojciec z *panem Sykstusem* przychodzi prędko, aby zupa nie o-
stygła. Ja wazę przykryję i czekać
będę.

To mówiąc spojrzała z uśmiechem
na Sykstusa i wymknęła się jak wie-
wiórka.

Ojciec powiódł za nią oczyma, ale
tak przybity, że prawie nie słyszał,
gdy Sykstus zaczął mówić.

— Pan podczaszy pozwoli.

-- A już musi pozwolić... mów,
mów, bo nie mam czasu — ofuknął
stary — gadaj, co masz...

— Jakem mówił ; już, przybyłem
do opiekuna i dobroczyńcy po radę
— odezwał się Warka — trafia mi się
wcale niespodziane szczęście.

— Cóż tam za szczęście? w kała-
marzuś je znalazł? — burknął podcza-
szy — he?

— Nie, ale ciocia Żylińska...

— A! masz pan, prawda, ciocię Ży-

lińską, ale ona go w oczy nigdy widzieć nie chciała..

— Tak, bo z moją matką były w ostatnich czasach przed jej śmiercią poróżnione. Lecz ciocia Żylińska — mówił Sykstus dalej — uczuła teraz, dzięki tym, którzy jej oczy otworzyli, szczególnie to winienem panu Machcewiczowi, uczuła, iż nas odepchnęła niesłusznie. Pozwoliła mi przybyć do siebie, a nawet Rozdołki puścić dzierżawą...

Podczaszy ramionami ruszył.

— Rozdołki! a znasz waćpan Rozdołki? — przerwał gniewnie — Maciek posiał, Maciek zjadł, na dwa dni z dzisiejszym... Lichota, biedota, folwarczyna, psu na budę się nie zdało. I cóż na takiej dzierżawie zarobisz? he?

• — Choćbym nic nie zarobił, ale ciocia Żylińska ma przecież Dołhowolę... i życzy sobie abym ja zajął się gospodarstwem i interesami.

— Bardzo ślicznie -- z przekąsem dorzucił podczaszy. -- Dołhowola wieś nie zła, ale ciocia Żylińska baba, sekutnica, zła, i do dwóch tygodni cię przepędzi, bo jej i djabeł sam nie dogodzi. Co ty sam myślisz począć? co za nadzieje? co za nadzieje? Śni ci się, że dzieci nie ma, że zapiesz! Ale ją tam osiedli pobożni braciszekowie tak, że ona rozpisze do ostatniego grosza na nabożeństwa, bo jak jest zła, tak pobożna duszyczka. Ciocia Żylińska! Toć ja ją znam tę babę i wszyscy ją znają, a dała waćpanu lat dwadzieścia kilka się tulać, dopiero gdyś u cudzej pomocy i własnej pracy wyrósł i pokierował się, ciocia dobrodziejka do gotowego siostrzeńca... Wygodna rzecz mości dobrodzieju, ale dla Waszeci niepokojna. W Rozdołkach trzydzieści korcy żyta wysiewu i po wszystkim, nowin wydzierać nie będziesz, bo nie masz za co. Owsa trochę, pod jęcz-

mień nawozu nie znajdziesz, bo inwentarza ci nie da... No co? no co? Maciek posiał, Maciek zebrał, Maciek zjadł. A na Dołhowoli do trzech dni żółć ci się rozleje, służąc tej babie.

— Więc pan podczaszy nie radzi.

— Nie radzę, nie. Jedź do Liblina, to rada moja.

— Ciotka przecie, jako jedyna i najbliższa krewna, ma pewne prawo rozkazania mi.

— No, to chcesz? słuchaj i nie przybывaj po radę?

Podczaszy był markotny, bo oto bębiono do stołu i nie miał sposobności się pozbyć natręta, który przez cały obiad mógł wygodnie patrzeć w oczy Ewuni i mówić z nią. Trudno nawet było staremu ukryć nieukontentowanie, otworzył drzwi i rzekł chmurno:

— Chodź na obiad!

Sykstus wyszedł za nim. W ja-

dalni zastali księdza Gulę, który bardzo jakoś był zdziwiony, ujrzawszy Warkę, dwóch rezydentów, pannę Martę, panią Kropiwnicką i Ewunię. Wszystkim domowym łatwo było na twarzy gospodarza poznać zły humor, dochodzący do tego stopnia, jaki się rzadko trafiał. Milcząco zasiedli do stołu, podczaszy wódki nie chciał pić, nie patrzył gdzie siądzie Sykstus, a wypadło jakoś właśnie ojcu na przekorę, że miejsce znalazł wprost przeciw Ewuni. To popsuty już humor ciocią Żylińską, doprowadziło do usposobienia prawie gniewnego.

Milczenie też panowało przy zupe, przerywane tylko niedyskretne mi śmieszkami panny Marty, która chłopca, należącego do znienawidzonej płci, oglądała jak konia na targ wyprowadzonego. Sykstus tymczasem wpatrywał się w Ewunię. Podczaszy zupe łykał, nie jadł, ksiądz Refor-

mat krajał chleb na drobne kawałki, a pani Kropiwnicka nie śmiała oczów podnieść.

Przy sztukamięsie stary odsapnął, westchnął i ozwał się do panny Marty:

— Asindzka pewnie znasz panią Żychlińską z Dołhowoli?

— A jakże, dobra kobieta — odparła panna Marta — tylko ją nie-szczęścia doznane w życiu przybiły.

— Tak! ta! dobra kobieta! Sekut-nica!

— Pan podczaszy przebaczy — mru-knął Reformat z końca stołu — bar-dzo pobożna pani, święta osoba, do-znała wiele od losu, ale nawykła Pa-nu Bogu ofiarować.

— Tak! tak — mówił podczaszy — Panu Bogu ofiarować, piękna o-fiara czego ludzie nie dogryźli. Ciocia Żylińska. — Rozmyśliwszy się, do-dał — siostrzeńcykowi, którego lat dwadzieścia kilka w oczy widzieć nie chciała... daje w dzierżawę Rozdołki,

toż to śmiechu warto! Rozdołki! lichota.

— Ja, jaśnie panie — przerwał jeden z rezydentów, pan Taszła — ja Rozdołki znam, żytńia gleba, ale nigdy nie chybi. Niezły folwarczek, siana w bród, lasu dosyć, woda obfita.

— Las i woda, wszelka wygoda — rozśmiał się podczaszy — tak! i niebo nad lasem. Co mi asindziej prawisz, panie Taszła, to awulsik, lichowie co...

— Daruj mi, jaśnie pan, że ośmielał się objaśnić, dwadzieścia chat, włościanie się dobrze mają, czterech kołodziejów, młynek z foluszem...

— No, dajże mi pokój, winszujcie panu Warczyńskiemu dzierżawcy, niech lezie, niech wlezie po uszy! a z Żylińską się wdawszy, dopiero mu będzie dobrze...

Zamilkli, bo podczaszemu, gdy był

w ogniu, nikt się nie sprzeciwił, tylko panna Marta była śmielsza.

— E! co! bo pan podczaszy cierpi do Żylińskiaj i dziś w takim humorze.

— Ja? w humorze! — mruknął podczaszy — kto teraz może być w dobrym humorze. Niech sobie pan Warczyński robi co chce, ma swój rozum, ja się w to nie mieszam. Ale że mu ciocia Żylińska da pieprza, to da.

— I pan podczaszy dziś zpieprzem — rzekła Marta.

Stary oczy spuścił.

— A asindźka z solą, z solą! — dodał po cichu.

— Ja jestem jak zwyczajnie, stara panna, do śledzia podobna — rozśmiała się panna Marta. — Żebyś podczaszy się ze mną ożenił, zobaczyłbyś jakbym się w konfiturę obróciła.

Stary nie mógł wytrwać i począł

się śmiać, aż się trząsł cały, podobał się koncert i chmura pękła w tym śmiechu.

— Ja się z asindzką ożenić? ja? a! przedziwnie! to przedziwnie.

— Nie dałabym, poszedłszy za męża podczaszemu, tak gderać, byłbyś bardzo szczęśliwy i humor by ci się odmienił.

— Tylko nie wiem, czybym się nie popsuł — rozśmiał się stary — bo taką żonkę wzięwszy...

Ewa z Syksusem tymczasem wiodła cichą rozmowę i usty i oczyma, wcale nie zważając na to, że ojciec oglądał się niespokojny, chwilami mówić przestawał i ucho pilnie zwracał ku nim.

Ewa śmiała była, a tego dnia tak znowu po dawnemu wesółą, jak ją oddawna nie widziano.

Nie uszło to oczów podczaszego, który mimo starań panny Marty powoli chmurniał, zamyślał się, wra-

cał do zasępienia, z jakim przyszedł.

Pomilczawszy, zwrócił się ku Sykstusowi.

— Do Dołhowoli mil dwie, a bodaj do tej Rozdołki, czy nie bliżej, będziemy mieli z waści sąsiada.

— Do Rozdołki przez las—szybko objaśnił Taszła — godzina drogi nie więcej.

Podczaszy się skrzywił.

— Spodziewam się, że zrobiwszy to głupstwo — począł cicho — będziesz przynajmniej w domu siedział i gospodarstwa pilnował, choć z niego nic nie zrobisz. Mów sobie asan, panie Taszła, co chcesz, jabym za Rozdołki nie dał, no, nicbym nie dał, bo to lichota. I jak tu nie miał być młodego człowieka, który ma chleb w rękę, który mógłby zostać mecenasem.

— Bardzo jestem wdzięczen panu padczaszemu dobrodziejowi, za jego

łaskę dla mnie — rzekł Syksus — ja mam tyle ufności w nim, iż gotów jestem choćby się wyrzec Rozdołki, tylko jakże znowu ciotce odmówić.

— Albo ja ci nakazuję co? albo ja cię zmuszam? — przerwał podczaszy — żeby potem ludzie mówili, że ja buntuję siostrzeńca przeciwko ciotce, że sperandę ci odbieram! Daj ty mi pokój, daj mi pokój. Rób, co ci lepiej, mnie się nie radź, nikogo się nie radź.

Obiad się jakoś skończył. Mimo złego humoru podczaszego, który chwilowo tylko panna Marta przerwała, Sykstus i Ewa byli spokojni. Nie nadużywając swojego szczęścia, młody chłopak pożegnał się zaraz po obiedzie, na utrapienie ojca poszedł jeszcze w rękę pocałować Ewunię i coś z nią cicho poszeptał, a potem pojechał swoim wózczykiem. Stary go oczyma przeprowadził i odetchnął.

*

*

*

Gdy się podczaszy potem zdrzemnął swoim zwyczajem po obiedzie. Ewunia schwyciła Martę pod rękę i wyszła z nią do ogrodu. Mówiły o różnych rzeczach, nareszcie Ewunia pocałowała przyjaciółkę i śmiejąc się szepnęła jej do ucha.

— Prawda, Marteczko, że chciałabyś raz przecie pójść za mąż?

— Zmiarkujesz to dopiero, gdy jak ja, będziesz miała trzydzieści i trzy (cicho!) trzydzieści i trzy lata.

— No, wiesz, gdybyś nie była bardzo wymagająca — uśmiechnęła się Ewa — to ja, jabym cię za mąż wydała.

— Ty? mnie? a to dobrze!

— Tak, ja ciebie, i jeszczebym może sama na tem skorzystała.

— Wiesz co, z takiej drażliwej rzeczy jak małżeństwo nie godzi się żartować.

— Ja nie żartuję — zaczęła żywo

Ewunia — mnie dziś przy stole błysnęła myśl jasna, cudowna!

— Cóż? co? chcesz mi Sykstusa swatać?

— O! bardzo przepraszam — oburzyła się Ewa — co to, to nie, ale zgadnij?

— Juściż ani Taszlę, ani Reformata!

— Tych obu, nie! — śmiejąc się rzekła Ewa, i w ucho szepnęła jej — mego ojca, podczaszego.

Panna Marta stanęła jak wryta.

— Co ty pleciesz?

— Powiesz, że stary? prawda? nie ma nawet 57 lat. Co to za wiek? posiwiiał przed czasem, człowiek dobry, miły, kochający.

— Moja Ewuniu, nie żartuj.

— Klnę ci się, że nie żartuję. Rozważ myśl, którą ci podaję, staraj się mu podobać. Lubi ciebie i twoją wesołość. Widzę, że miłem na cie-

bie patrzy okiem. Wydam cię za niego.

— Cóż to jest? — poważniejąc jakoś poczęła panna Marta.

— Co w tem jest? chciałaś powiedzieć, zapewne — odezwała się Ewa — ja ci tu zaraz wytłumaczę, bądź co bądź, zostanie między nami.

Niezmiernie zaciekawiona Marta podała rękę.—Mów.

— Ja ciebie wydam za męża, a ty, ty mnie pomożesz do wyjścia tak, jak ja zechcę.

— Filucie ty? cóż to? już się zakochała?

— Nie, ale myślę pokochać się.

— W kim?

— To moja tajemnica.

— A mnie chcesz użyć, jako narzędzie i dobra jesteś? — poczęła się śmiać Marta. — Dziecko z ciebie, i to co mówisz dzieciństwo, ale cóż to szkodzi, pomówmy o tem obszerniej.

— Ja ci nic więcej na dziś do powiedzenia nie mam, prócz, że ci pomogę, a ty korzystaj z czasu, staraj się podobać, i zostań moją dobrą macochą.

Uścisnęła ją, na pół śmiejąc się, a pół ze łzami, panna Marta była wielce zaintrygowana.

— Wiesz co, weźmiemy to do namysłu, nie odrzucam, nie przyjmuję.

— Przyjm! — zawołała Ewa—będziesz podczaszyną, tatko ci sto tysięcy najmniej zapisze, ja w rękę będę całować i kochać, i wdzięczność ci zachowam do zgonu.

— No! proszę was! — odezwała się zdumiona panna Żyrowska — ktoby to powiedział, że w tej główce młodziuchnej taka polityka siedzi?

Jednakże na pierwszy raz panna Marta przyjęła tę myśl rzuconą przez Ewunię niedowierzająco, i w żart ją obróciła. Rzecz sama z siebie złą nie

była, a przecież ten stary mąż, jakoś nie smakował, było to już to ostatnie lekarstwo, które podają chorym, gdy o ich życiu zrozpaczą doktorowie. Panna Marta spodziewała się jeszcze może choćby głupawego, ale młodego Dydaka. Wprawdzie być panią podczaszyną miało swe znaczenie, lecz, chodziły długo po ogrodzie, a Ewunia ostrożna już się z tym planikiem swym nie narzucała, zostawiając Marcie czas do namysłu i rachując może na to, że później podziała to lepiej.

Wszakże przy wieczerzy, choć niby nie patrząc, figlarz dziewczyna dostrzegła, iż panna Marta kilka razy okiem baczniejszem rzuciła na podczaszego, jakby mu się lepiej chciała przypatrzeć.

Nazajutrz poszła Ewunia na dzień dobry do ojca.

— A! jakże ja tatkwowi jestem wdzięczna za to, że pannę Martę u-

prosił tu do pozostania ze mną. Co to za miła i nieoszaczowana osoba! Jednej tylko rzeczy się lękam, e! ale tego nie powiem.

— No, ależ cóż? co? — spytał stary.

— Gotowa mi jeszcze tatka zbałamucić, bo doprawdy formalnie w nim zakochana.

Podczaszy podniósł głowę, usta otworzył, rozśmiał się.

— At, pleciesz — rzekł — pleciesz, androny! androny.

Ewunia się uśmiechnęła.

— Już zmilczę.

Nie powiedziała też ani słowa więcej, a jednak gdy przyszło do stołu iść, podczaszy podał rękę pannie Marcie z takim wdzięcznem wygięciem i szedł z taką gracją, uśmiechał się do niej tak mile, iż trudno było nie dostrzedz tego. Przy obiedzie ciągle do niej mówił i puścił się w opowiadanie anegdot z młodości, w których wiele było wesołości i dow-

cipu. Pannę Martę wzrok Ewuni mieszał tylko i powstrzymywał, miała wszakże ochotę wielką, inklinację i benewolencję, podczaszego wzrokiem i słowem rozżarzyć.

Filut dziewczę udając, że nie widzi nic, cieszyło się owocem swego przemysłu. Na nieszczęście wedle umówionego terminu, panna Marta nazajutrz już domu zameężnej siostry odjeżdżać miała, przyszły nawet po nią konie. Obawiając się stracić już zdobyte początki, Ewunia poczęła najmocniej nalegać i prosić Marty, żeby na dni jeszcze kilka pozostała. Gość się wymawiał. Podczaszy przyłączył się do córki i dla niej, tylko dla niej, błagał ażeby jeszcze nie odjeżdżała. Obiecywał odesłać własnymi końmi. Trochę się podrożywszy panna Marta, zgodziła się darować jeszcze Górze tydzień. Radość z tego powodu była wielka, a nawet na twarzy podczaszego odmalowała

się bardzo dobitnie. Stary nie ośmielił się żadnych jeszcze czynić projektów, lecz czuł, że mu w domu było lepiej i weselej przy pannie Marcie. Ona znowu codzień zuajdowała podczaszego mniej starym i pokazniejszym. Był, według niej, bardzo poważny mąż, dojrzały, ale uchowaj Boże! nie tak podeszły, jak się jej z początku zdawało. Całą żywóść umysłu zachował młodzieńczą, a zdrowie miał doskonałe i chodził, gdz chciał, niezmordowanie po godzin kilka z rzędu. Uwagi te czyniła sobie sama, niektóre z nich przypadkowo poddawała Ewunia.

W kilka dni, gdy dwie panny siedziały razem, Marta nagle, impetycznie niby zebrawszy się na odwagę, przypadła do towarzyszki, położyła jej rękę na dłoniach i zawołała:

— Słuchaj, Ewo, powiedz mi, tyś żartowała ze mnie, swatając podczaszemu, przyznaj się? A gdyby w i-

stocie do czego podobnego przychodziło, pierwsza byś lamentowała i płakała.

— Nie — odpowiedziała Ewa — nie, na wiatr nie rzuciłam tych słów, Marto. Wiem, że dla ojca byłabyś dobrą żoną, choć pleciesz zawsze przeciw rodzajowi męskiemu. Ojciec by cię kochał, tak, jak tylko starzy kochać umieją, ale, Marto moja, gdy ja ci pomogę, ty nawzajem musisz pomódz mnie.

— Jak? do czego? mów!

— Później, dziś nic — rozśmiała się Ewa — tatko już się dla ciebie rozczuła, choć nie ma odwagi, przysiadaj się do niego, ośmiel go, a potem...

— Wiesz, Ewo — przerwała Marta — znaleźć w tobie taką intrygantkę, to dla mnie jeszcze dziwniejsza, niż rozkochać podczaszego, a nawet niż wyswatać się za niego; kto ciebie tego nauczył?

— Kto? jakto? nie zgadujesz? ja ci mam powiedzieć, że moim nauczycielem jest miłość?

Marta uderzyła w dłonie, zamilkły trochę, popatrzyły na siebie.

— Ty się kochasz? ale w kim?

— Nie pytaj, nie powiem, dosyć, rób swoje, przyjdzie czas na zwieżenia.

— Ale gdyby, no, przypuśćmy, gdyby się coś podobnego składało, — rzekła, wahając się panna Marta — cóż ludzie powiedzą?

— Co mają mówić? dlaczego? — ofuknęła Ewa — alboć to pierwszy u nas przykład, że trzydziestoletnia panna wychodzi za pięćdziesiąt kilkoletniego mężczyznę? Co komu do tego? Nie czynisz tego przecież przez chciwość, bo masz posag, a mogłaś oszacować człowieka miłego i zanego, choćby nie pierwszej młodości.

— Zresztą — gwałtownie dorzuci-

ła panna Marta — niech tam sobie plotą, co chcą, wszystko mi jedno.

Ewa uściskała ją.

— Wiesz, serce — rzekła — długom z mojem sumieniem się rozprawała, boć ja to czynię trochę przez egoizm, ale doprawdy nic mi ono nie wyrzuca, dam pocziwemu ojcu trochę szczęścia, a i ty nie zostaniesz ofiarą.

— Moja Ewunia droga — szepnęła Marta — nie mniej my obydwie szalone jesteśmy trochę. No, ty, młoda, tobie wybaczone, ale ja! ja! Czasem się sama z siebie śmieję. Ale chcę ukarać tych trutniów, z których żaden nie miał odwagi mi się oświadczyć i pokazać im, jak jednego dnia stara panna może nagle zostać młodą mężatką.

— Zgadzasz się więc, — ściskając ją zawołała Ewunia w uniesieniu.

— Cóż z tego, że ja się zgadzam

— smutnie szepnęła Marta — podcza-

szy, no! prawda, spogląda czule, całuje mnie po rękach nieustannie, zdaje mi się wszakże, iż się oświadczyć także nie potrafi. Już takie szczęście moje.

— Licz tylko na mnie — rzekła Ewusia żywo — jeszcze parę dni, potem jedź. Gdy odjedziesz przysięgam, że zateśkni, a ja potrafię z tęsknoty skorzystać dla ciebie. Wrócisz w tydzień jaki, zobaczysz, zobaczysz, wszystko się złoży jak chciałam.

— A! ty Machiawelu w spódniczce! — łamiąc ręce odezwała się Marta — ty, którą ja miałam za takiego dzieciaka, ty!

Ewa zaczęła się śmiać, wzięły się za ręce i poszły, bardzo poważniejąc, do pokoju. Podczaszy chodził już, widocznie oczekując na nie, ogolony świeżo, w nowym kontuszu, w czerwonych butach, ubrany z pewną elegancją, choć się lękał, żeby to zbyt

w oczy nie wpadło i zaraz począł się tłumaczyć, iż ma jechać z wizytą do Przyrowów.

Ewa niby sobie coś przypomniawszy, do gospodarstwa pobiegła, i zostawiła pannę Martę z ojcem. Gospodarz był w najśłodszym humorze.

— Wiesz, asindźka — zawołał, ściskając aż nadto silnie rękę Marty — że doprawdy od czasu, jak mamy szczęście mieć ją w domu naszym, Góry nie poznaję, tak tu wesoło, tak miło dnie upływają.

— Niech mi pan podczaszy wierzy — szepnęła, sznurując usta panna — że równie mi tu też dobrze, miło i odżywam w tem ustroniu przy lubej Ewuni. Ale wszystko w tem życiu koniec mieć musi, siostra na mnie czeka, list właśnie odebrałam i jechać mi będzie potrzeba nieodzownie.

— Ou! ou! u! u! — zawarczał podczaszy — ale to nie może być! cóż

my tu bez asindźki poczniemy! Proszę się nie śmiać, doprawdy, czułem się jakby odmłodzonym, a gdy asindźka nas opuścisz, postarzeję.

— A! doprawdy nie zasłużyłam, kochany podczaszy, na tyle dobroci — mówiła Marta.

— I Ewunia! Ewunia! wszak to asindźka jej wróciłaś humor i zdrowie.

— W istocie Ewa lepiej teraz wygląda i weselsza, ale to od tego baliku.

— Myślisz asindźka? czyby drugi dać wypadało?

— O! nie wiem, to pewna, że Ewa potrzebuje dystrakcji, ludzi, zajęć, a może zamiast balem, zającby ją mężem i gospodarstwem — dodała, uśmiechając się Marta.

— Młode to jeszcze, widzisz asindźka, i prawdę rzekłszy, oprócz chorążego, któremu po części już dałem odkosza, acz delikatnego, nikt się nie trafia.

— No, ja nie wiem, ale — cichutko szepnęła panna — pewna jestem, że tam już w serduszkach ktoś siedzi, i tego też, że gdy raz kogo pokocha, będzie go musiała mieć, nie łatwo jej wybić z główki.

Podczaszy zafrasowany westchnął.

— A gdyby czem nabiła niedorzecznem głowę?

— Wątpię! Ewunia bardzo surowo u ludziach sądzi i nie łatwo się jej kto podoba.

— Ale miłość ślepa, panno Ciwunówno dobrodziejko? — dodał podczaszy.

— Czyż zawsze? — spytała Marta. Podczaszy pomiarkował się, skreślił.

— W młodości szczególnie! — dodał, poprawiając się — w młodości.

Ciwunówna nie mogła się od śmiechu powstrzymać. Szczęśliwy, że mu się te różowe usta otworzyły, podczaszy począł też wesoło chichotać.

Ewa powróciwszy, znalazła ich w najlepszej komitywie siedzących na kanapce, a stary jakoś nieznacznie pochwycił był rączkę białą i trzymał ją, bo mu się wcale nie wyrывała, na widok jednak nadchodzącej córki usunął dłoń i jakoś się zmieszał. Ewa nadbiegła, poprawiając włoski, rumiana, śmiejąc się, i poczęła zdala wołać klaszcząc w rączki.

— Ot, tak to ślicznie, Marta mi tatka bałamuci, a tatko aż odmłodził, aż poweselał. Brawo! brawo! Ja państwu nie przeszkadzam.

Pobiegła w ganek zaraz.

— To trzpiot, proszę asindźki z tego dziecka — odezwał się podczaszy — nie wiedzieć co plecie, gdzieżby to już taka jak ja starzyzna śmiałyaby się do takiego różanego pączka zbliżyć.

— Cha! cha! — śmiała się Marta — ja bo już, kochany podczaszy, dawno

pączkiem być przestałam, a pan też wcale tak stary znowu nie jest.

— Żem nie stary, to się i metryką złożyć mogę—podchwycił gospodarz—tylkom w ostatnich latach ociężał, a przy asindźcie, jak Boga kocham, aż mi wstyd, ale w sobie wracające czuję wigory młodzieńcze.

Marta się śmiała.

— Śmiej się, asindźka, śmiej, a! — mówił podczaszy — dobrze staremu, spojrzawszy w te czarne oczki, choć młode lata przypomnieć. — Potarł czoło. — Dobrze to były czasy.

— Pan się czynisz starszym, niż jesteś — rzekła Marta — bo pan świeżo bardzo wyglądasz.

Tem go, zdaje się, ostatecznie za serce ujęła, bo pochwycił ręce jej obie i począł je całować. Potem nagle jakby się opamiętał, wstał, przeszedł się po sali, westchnął i posmutniał.

Dano do stołu.

Wieczór z małemi warjantami powtórzyła się taż sama scena, a że panna Marta żegnała podczaszego, bo nazajutrz miała wyjeżdżać, stary czulszym się jeszcze stał i przynajmniej razy ze cztery powracał, by ją pożegnać, zaklinając, ażeby wróciła, co też panna Ciwunówna przyrzekła.

Po wyjeździe panny Marty i ksiądz Reformat i Taszła i wszyscy domownicy, spostrzegli wielką zmianę w podczaszym, wrócił jakby do dawnej swej ociężałości, chmurny, nudził i poczynął gderać. Rzecz ta była przewidziana. Ewunia jeszcze co chwilę przypominała mu panuę Martę. Na to dosyć nieszczęśliwe usposobienie, jednego dnia z południa nadjechał znany wózek Sykstusa i podczaszcy ujrzał z wielkiem strapieniem swem, Warkę kroczącego ku kancelarji.

— Tego to mi się pozbyć trudno—

począł mruczeć do siebie—sposobu nań niema, chmurną mu twarz pokazuję, gderzę, nie, wlecze się. Jeszcze mi tu siadł w Rozdołkach, jakby na złość pod bokiem.

Sykstus wszedł właśnie i zabierał się do pocałowania w rękę.

— Przepraszam, że pana podczas tego dobrodzieja tak nudzę, ale do kogóż się udać sierocie, jeśli nie...

— A co? aha? już? ciocia Żylińska zapewne figla spletała? nie mówiłem? — zawołał podczaszy — ot, iest.

— Jeszcze do niczego tak złego nie przyszło—mówił Sykstus—tylko, znowu rady pana dobrodzieja potrzebuję.

— Może i pieniędzy? co, dalipan, złamanego szeląga nie dam, chyba do Lublina sobie pojedziesz.

— Ale ja dzięki ciotce niepotrzebuję — kłaniając się, rzekł Sykstus.

— Ciotka dla mnie bardzo dobra,

lękam się tylko przy młodości i niedoświadczeniu zbyt wielkich ciężarów na ramiona moje nabierać.

— Cóż? co? będziesz ciocię dźwigał? mów jaśniej, bo nierozumiem.

— Ciocia się wybiera na dewocję do miasteczka, chce mi już i Dołhowolę wypuścić...

Podczaszy stanął wśród pokoju.

— Ba! ba! co godzina, to nowina, komponuje coraz nowe projekta, a żadnego nie dotrzyma! Otóż patrzeć? he? wczoraj Rozdołki, dziś Dołhowolę, a jutro może fora ze dwora, jak jej tam Bernardyni wyperswaduują, że z tem lepiej będzie. Co ja mam waćpanu radzić? he? asan się tylko jeżdżąc tu do mnie od gospodarstwa odrywasz! Co ja poradzę? Ja ani tego ani drugiego, nie aprobuję. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ, jednego rana ubzdrzy się co cioci Żylińskiej, pakuj manatki i bywaj mi zdrów. Ja mówię jedź do Lublina.

Sykstus milczał, podczaszy chodził, posapując i kiwając głową.

— Ciocia Żylińska, ponieważ się wahałem, oświadczyła, że mi da dwunastoletni kontrakt dzierżawny.

Podczaszy się odwrócił...

— Ciekawym — rzekł — co sobie każe płacić z Dołhowoli? he? Są długi?

— Legatów i sum rękodajnych na Rozdołkach jest sto pięć tysięcy; ja to najlepiej wiem, bo pan Żółtkiewicz miał jej interesa. Sześćdziesiąt tysięcy na szóstym procencie, reszta na piątym.

— Tać! tać, asindziej to niby prawnik, powinienieś wiedzieć, jak się ubezpieczyć — zawołał podczaszy — coś baba chce do rąk mieć, bo to i podymne nie mała rzecz i inne ciężary publiczne i łanowe... i...

— Ciocia Żylińska żąda do rąk nie więcej nad tysiąc talarów.

Podczaszy się mocno zadumał.

— Żytnia gleba! grunt miejscam glejowaty, a kawałki, — sam widziałem na drodze do Wroniek, sapy, sapy, reszta bromosz, nie bardzo rodzi... A gotowego grosza ile?

— Cztery tysiące — rzekł Syktus.

Podczaszy ręce włożył w kieszenie.

— Któż to tę ciocię asanu nawrócił? — spytał nagle.

— Winienem to kilku łaskawym na mnie, panu rejentowi, a szczególnie Machcewiczowi, pono i sędzicz i pisarzowicz także tam bywając, po słówku za mną dorzucili.

Stary głową kiwał i milczał.

— Żeby stara sekutnica — z pozwoleniem, miała dać kontrakt przed aktami, oblatowany, ważny, na lat dwanaście i takim się cyrografem dobrowolnie związała... nie wierzę! to nie może być...

— A gdybym go otrzymał? — zapytał Sykstus...

— No to bierz, bierz, potem, potem powiesz, że ja ci do szczęścia zagradzam drogę. Owszem, winszuję... a pozwól bym ci dał w dodatku dobrą radę. Gdy zaczniesz gospodarować, nie włącz że się po sąsiedztwie, czasu nie trwoń, życzę... życzę...

Sykstus ciągle jeszcze stał przy drzwiach, bo go nawet usiąść nie proszono, lecz nadchodziła godzina poobiedniej kawy, którą pijano razem w pokojach. Przed tą kawą radby się był pozbyć gościa niespokojny ojciec, rzecz jednak musiała być ukartowana, bo Ewunia nadeszła...

— O! że oni się z sobą znają — rzekł w duchu podczaszy — tobym przysiągł, przysiągłbym. Jak to on sobie godzinki wybiera na konsyljum, a panna co miałaby przysłać po mnie, Stefanka, sama nadbiega. Ale czekajcie, to będzie pono ostatni raz.

Przed Ewą nie chciał się wydać bardzo ze złym humorem ojciec i wyszedł, puszczając ją przodem, a za sobą wiodąc Sykstusa, który postępował nieśmiało.

— Wiesz, tatku — ozwała się Ewa — jaki niedobry list miałam od Marty, jaka ona niegrzeczna! Wszakże do nas przyjechać nie chce. Mówi, że nie może, a ja powiadam, nie chce.

Podczaszy się zapomniał i zerwał z krzesła.

— Co mówisz? nie przyjedzie! dla czego?

— Albo ja wiem — ruszyła ramionami Ewa — to dziwaczka, śmieszne rzeczy mi popisała, może później powiem tatku.

— Jakto? i nie przyjedzie?

— Nie obiecuje.

— A! to już nieszczęście — rzekł podczaszy — szczególnie dla ciebie.

Ewunia uśmiechnęła się nieznacznie.

— Tak, doprawdy, mnie bez niej będzie bardzo smutno, ale ja mam na to sposób.

— Ciekawym...

— Gdyby papa poprosił pana Sykstusa...

Podczaszy aż się zżymnął.

— Co? po co? na co?

— Ona go bardzo lubi! on by pojechał i wyperswadował i namówił, uprosił.

— Ona go lubi! co? tego! za co go ma lubić?

Ewa poczęła się śmiać.

— Jużciż jeśli ojciec chcesz, żeby przyjechała...

— Dla ciebie?

— No, tak, dla mnie, oczywiście... jeśli tatko chce, by przyjechała, ani ja, ani wy jechać nie możecie... pisać to darmo.,

— A i przez posły wilk nie tyje
— mruknał podczaszy.

— No, ja ręczę, że pan Sykstus...

— Co pan Sykstus! zaraz pan Sykstus! on ma co do czynienia i tak...

— Ja pojedę najchętniej.

— Nie, nie — zawołał ojciec — a-san jedź i pilnuj swojego gospodarstwa, ot, co życzę, i oducz się tego trędania od komina do komina. To sobie dobre dla tych, którzy nic do czynienia nie mają, a kto na przyszłość pracować musi...

— Ja, panie podczaszy dobrodzieju—odparł Sykstus z pokorą—nigdzie a nigdzie nie bywam, prócz tu w Górze, a dom pański nawykłem uważać, jako mojego opiekuna i dobroczyńcy.

Z krzesłem się aż do niego odwrócił podczaszy nagle.

— Mój kochany Warko, nie drażnijże ty mnie tym opiekunem i dobroczyńcą. Nie opiekowałem się a-

sindziejem wcale, a dobroczyńcą nie byłem, boś moją pomoc odrzucił.

— Nie mniej pamięć tej łaski zachowam do zgonu — rzekł Warka.

— Wiesz pan co — przerwała wesoło Ewunia — odwdzięczże się córce za ojca, ani pytaj o pozwolenie, jedź do Siennej i uproś, choćby na klęczkach pannę Martę, żeby do mnie przyjechała.

Sykstus wstał i chwycił za czapkę, ale mądre chłopię, nim podczaszy zaprotestował, rzekł kłaniając się:

— Jadę i z powrotem będę miał szczęście służyć państwu, a zdać sprawę z mojego poselstwa.

Ojciec pięścią aż o stół uderzył z niecierpliwości, ale nim się zebrał huknąć — Nie pozwalam! — Syksusa już nie było.

*

*

*

Wszystko poszło jak mogło najszczęśliwiej. Sykstus nazajutrz przed

samym obiadem wrócił i doniósł, że panna Marta ubłagana przez niego, wieczorem przybywa. Podczaszego w taki to dobry humor wprawiło, że już wcale prawie nie burczał, jednakże gdy po skończonym obiedzie miał zasiąść zdrzemnąć się, obawiał się snąć aby młodzieniec z tego snu nie korzystał dla swobodniejszej rozmowy i pożegnał go sam, powtarzając dobrą radę, ażeby się nie włóczył, nie próżnował i gospodarstwa pilnował.

Przybycie panny Marty rozpromieniło podczaszego, wyszedł na jej spotkanie w ganek, wprowadził ją z gracją wielką do pokoiów i choć godzina to była, w której nie zwykł zasiadać z gośćmi, pozostał aż do wieczerzy. Ewunia kręciła się widocznie tak, aby ojcu nie przeszkadzać w rozmowie. Nazajutrz dzień zszedł jak najweselej, z wyraźnym postępem poufałości wzajemnej.

Panna Marta bawiła swojego utajonego konkurenta, podczaszy sypał anegdotkami.

Jednakże ilekroć powracał do siebie stary, smutniał bardzo jakoś i wielce zdawał się zakłopotany. Tego dnia po wieczerzy kazał przynieść do sypialni buteleczkę węgierskiego i zaprosił księdza Gulę z sobą.

— Chodź, ojcze, wypijemy na sen po kieliszku, pogawędzimy.

Reformat skłonił się i poszedł, zasiedli oba w krzesłach, cmokając po troszę kapkę.

— Wiesz, ojcze — odezwał się po namyśle podczaszy — bieda to człowiekowi samemu na starość. Ot, powiem ci, myślę sobie, lada dzień może się kto trafić Ewuni, pryśnie mi z domu, i zostanę jak palec.

— Może też zięć zamieszkać zechce przy panu...

— A! dziękuje ci, choćby był cukrowy, to nam obu życie skwaśnieje.

Już to, pożał się Boże, dwóch panów w jednym domu. Z synem nie zawsze dobrze, a z zięciem nie ma sposobu prawie, by się harmonja w familji nie nadwyreżyła. Ludzie jesteśmy.

— Prawda i to — rzekł Gula — prawda i to, ale cóż za rada?

— Otóż, trudna rada! trudna! Byłaby tam jedna, ale, ale o tem i mówić ciężko...

— Cóż takiego? panie podczaszy.

— Gdybym taki stary nie był, ożenić się... ot co...

Reformat się uśmiechnął.

— Panie podczaszy dobrodzieju — rzekł zwolna — wiadomo co apostoł powiedział, *Melius est nubere...*

— Nie z tego względu, mój ojcie, nie dla serca człek potrzebuje towarzyski, a gadajcie wy sobie co chcecie, wy, co z profesji kobietami się brzydzicie, — bez niewiasty dom żeby był złocony, pusty będzie.

Gula pociągnął dobry haust.

■ — Pan podczaszy nie jesteś przecie w tak podeszłym wieku...

— Ja to sobie powiadam właśnie, że nie jestem w wieku podeszłym, ale zawsze, zawsze, pięćdziesiąt i siedem, szósty krzyżyk!

— U nas się to i w siódmym żenili — poparł ksiądz Gula.

— Zapewne, bywało to, dziś rzadziej — mówił, wzdychając podczaszy. — Z drugiego zaś względu, jakże kochanemu dziecku macochę dać, dopieroby było narzekanie... płacz... bo widzisz, ojczy... a nuż... kto to może przewidzieć, zjawił by się chłopiec i jedynaczka by musiała ustąpić braciszkowi...

— Tak! tak! — mruczał Reformat — to są rzeczy do namysłu.

— Ja ci powiem, mój ojczy, że nigdy podobnej pokusy nie miał, Bóg widzi, nie miałem. No, tylko myślać o tem, jak mnie Ewunia opuści...

Reformat trochę był winem ośmielony i rozweselony.

— E! panie podczaszy! benefakto-rze i syndykn nasz... — zawołał — gdybyś się nie pogniewał, cośbym rzekł.

— Pal, mój ojcie.

— Jegomości bodaj pauna Marta w oczko wpadła.

— A wpadła! jak Boga kocham! — rozśmiał się stary — no, masz słusność, pierwszyś to odkrył, wpadła. Ale to młode... śliczne... bodaj nie dla mnie... tylko człek darmo się durzy.

Gula śmiał się.

— Młode! no! młoda ona jest, ale ale my to najlepiej wiemy, bo z naszej parafji, lat trzydzieści ma.

— E? — spytał podczaszy... — ma? nie wygląda na 25! Słowo ci daję. Świeża jak róża. A za mnie ona nie pójdzie...

— Ot, nie wiem! — rzekł Reformat

— mnie się zdaje, że poszłaby, bo coś także do pana podczaszego przylega.

— Alboż przylega? — wesoło spytał stary — uważałeś? myślisz? do prawdy?

— Uważałem... uważałem...

Podczaszy począł się przechadzać po pokoju.

— Zabiłeś mi klina w głowę, mój ojcze, bo, gdyby ona do mnie serce miała jeszcze, no! jak Boga kocham, ważyłbym się.

— To ja pan zapytaj.

— Boję się, powiem ci, ojcze, głupi jestem, a nuż mi da odkosza.. to się struję. Wolę się durzyć tak niż nadzieję stracić.

— To źle — odparł reformat — zły znak, pan podczaszy nadto już zakochany.

— Pst! cicho! nie gadaj! nuż kto posłysz! zlisuje się — zawołał stary

— ale to tak nie wiedzieć zkąd wprędce przyszło...

— To może i odejdzie.

— Wątpię...

Gwarzyli, gwarzyli przy kieliszkach, a podczasemu lżej się na sercu zrobiło znalazłszy konfidenta.

— Co się tu między nami mówiło, ojcze kochany — rzekł w końcu podczas, to wszystko *sub rosa*, jak na spowiedzi. Wstyd mi, powiem ci, wstyd. To dopiero Ewunia zakrzyknie, gdy się dowie. Kara Boża na stare lata, taka dolegliwość.

Chodził dosyć jeszcze długo po sypialni podczaszy, myślał, dumał, potem ukląkł się pomodlić, położył spać i do białego dnia przewracając się z boku na bok, zasnąć nie mógł.

W Górze gdzie zwykle dosyć gości z sąsiedztwa bywało, temi dniami jakoś pusto się zrobiło, tak, że podczaszy mógł bez przeszkody go-

dzinami całemi z panną Martą rozmawiać.

Jednego dnia wieczorem kazano podać kolację w alt: nie około domu, gdyż dzień był parny. Do stołu zasiedli domownicy i rozmowa dosyć ożywiona trwała. Po ostatnim półmisku, rezydenci odeszli, Reformat się wymknął, Ewa odprowadziła w ulicę panią Kropiwnicką, a Marta z panem podczaszym została na krzesle, słuchając opowiadania jak go to siłą szabel i wina pierwszy raz deputatem wybierano.

Nagle z tej historii jegomość przeszedł, obejrzawszy się w około, do wspomnień młodych lat, i uczuć młodzieńczych.

— El e! panno Ciwunówno dobrodziejko — zawołał — miałem serce, przyznam się asindźce, aż do zbytku czułe, i z tego mi bezpotrzebnie na stare lata zostało... zostało!

— Serce nigdy nie zaszkodzi —
odparła panna Marta.

— A! licha tam, powiem asindźce,
kłopot z niem, łatwo się człowiek
przywiąże, a potem cierpi... bo...
bo...

Tu zamilkł nieborak i westchnął.

— Pan podczaszy czynisz się nie-
potrzebnie starym, bo nim nie je-
steś.

— I jestem i nie jestem, człek o-
cieężał, choć serce ma w piersiach
młode, a co komu po tem...

— Przepraszam szanownego pana,
serce to grunt.

— Asindźka bo jesteś wyjątkiem
między niewiastami — zawołał pod-
czaszy — jak mi Bóg miły, wyjąt-
kiem. Nie mogę się też oddziwować,
iż dotąd pozostałaś samotną, gdy się
o asindźkę na klęczkach powinni by-
li dobijać.

— Pan podczaszy aż nadto jesteś
dla mnie łaskaw.

— Co to łaskaw! — zapalając się odezwał jegomość, — jabym dla a-sindzki czarnych oczów gotów, czy w ogień, czy w wodę.

— A, panie podczaszy...

— Przysięgam... jak mnie widzisz... Jesteś panią serca mojego. Co już mam mówić więcej...

— Chyba żartujesz pan ze mnie.

— Co? jabym śmiał z takiego bóstwa lekce sobie ważyć je, żartować? Pani moja, weź, proszę, na próbę i rozkazuj.

Panna Marta spnęła oczki skromnie, zaczęła kończyk chusteczki skubać, westchnęła i jeśli mamy prawdę powiedzieć, pomyślała. Jestem pewna, że coś przeszkodzi, albo stary się opamięta i znowu nie oświadczy.

— Wysoko cenię serce tak uprzejme dla mnie, pana, lecz...

— Lecz co? mów, pani.

— Lecz doprawdy — mówiła panna Marta — cóż to ma znaczyć?

— Mam rzecz? no, to powiem, jestem w asindźce zakochany, jak młodzik i gdyby nie lata...

Panna Marta milcząc, odmawiała modlitwę na tę intencję, żeby raz przecie dobitnie się oświadczył, podczaszy przestraszył się milczenia i zawahał. Spojrzała nań.

— Panno Marto, królowo moja — dodał, chwytając za rękę, którą całować zaczął — jeśli masz odwagę, daj mi oto tę rączkę... włożę na nią obrączkę i niech świat gada, co chce, jeszcze mi szczęście błysnie.

— Panie podczaszy, mogeż to wziąć za...

— Prawdę, prawdę, za wynurzenie uczuć mych — dodał podczaszy — poprę przysięgą, królowo moja.

Nie wiedząc jak dokończyć, Marta nie bez wzruszenia wyciągnęła mu dłoń, podczaszy aż przykleknął chwytając, chociaż się zaraz porwał i zawołał stłumionym głosem.

— Bogu najwyższemu dzięki? spełnione najgorętsze życzenia moje, Marcju droga! gdyż odtąd mam prawo zwać cię tem słodkiem imieniem, o jedno teraz proszę, niech to, co zaszło między nami, pozostanie tajemnicą, dopóki... dopóki... Widzisz, a-sindzka, boję się Ewuni... muszę ją przygotować.

— Zastosuję się do życzeń podczaszego — łagodnie odpowiedziała Marta.

— To nie potrwa długo, ja zaraz jutro pocznę ją przygotowywać, dziecko dobre... choć główka nieco twarda, ale mnie kocha, serce dobre.

Na te słowa Ewa nadeszła, która scenę całą, nie słysząc wyrazów, widziała dobrze i rada jej była, nadeszła smętna i zamyślona, wzięła Martę pod rękę, ojcu dała dobranoc i tak się wieczór ten dla podczaszego pamiętny ukończył.

Poszedł on zaraz do kancelarji

aby z sobą samym pozostawszy, nad dalszem postępowaniem się zastanowić, Ewunia zaś pociągnęła Martę i ledwie odeszły w ulicę, uścisnęła ją.

— Rzecz skończona! prawda! widziałam jak ci się ojciec oświadczył.

— Tak! — rzekła Marta — przyznam ci się, że w tej chwili jeszcze jestem wzruszona, uczyniło to na mnie wrażenie wcale niespodziewane... Strach przejął tajemny...

— O! już po czasie lękać się i nie ma czego — zawołała Ewunia — teraz ratujże mnie.

— Ale odkryjże mi, w kim się ty kochasz, bo wiesz co, jakkolwiek dobre mam oczy, dotąd tego się nie domyśliłam.

— W rycerzu o lśniącej zbroi — zaśmiała się Ewunia — przecieżeś go razem ze mną admirowała.

— Któż to jest?

— Niestety! rozczarujesz się, gdy

powiem, moim rycerzem — westchnęła Ewunia — Sykstus?

— Sykstus! Sykstus? — krzyknęła Marta — jakto? ten dependent Żółtkiewicza.

— Jeśli chcesz, nazwij go i tak, ale on mnie kocha, ja jego, i nie wyjdę, tylko za Sykstusa. W tem właśnie rzecz, iż ojciec czegoś się domyśla już, a jest mu jaknajmocniej przeciwny.

— Cóż poczniemy? — spytała Marta.

— No, nie wiem jeszcze — przebaknęło dziewczę — ale tegom pewna, że choćbym dwadzieścia lat na pozwolenie czekać miała, choćbym zezarzała panną, nie pójdę, tylko za niego.

-- Szczęśliwy chłopiec! — westchnęła Marta — masz moją rękę, pomogę, uczynię co tylko każesz, jestem twoją, ach! będę twą razem siostrą i matką! — Uścisnęły się milcząco.

Następnego dnia, nie wiem jak się to stało, wszyscy we dworze powstawali raniej niż zazwyczaj. Pierwszy obudził się podczaszy, gdy jeszcze chłopiec w kredensie na sienniku spał i musiał go sam pójść obudzić, nazywając negusem. W kawiarni dziewczęta ledwie rozpoczynały toaletę, w potłuczonych zwierciadłach, gdy Ewunia posłała Julkę po kawę dla siebie i Marty. Były tam jakieś tajemnicze konszachty między Ewą i Julją, potem ta poszła do pisarza prowentowego, który był przy gumnach, potem ten znowu zbudził chłopaka w stajni i chłopiec konia chwyciwszy, gdzieś zginął...

Przy mszy modlili się wszyscy goręcej, niż kiedykolwiek, a gdy księdzu Guli miano kawę wedle zwyczaju podawać w jego izdebce, zaprosił go z sobą podczaszy do kancelarii, żeby się u niego napił. Tu, gdy byli, wyjrzał jegomość do drzwi, sta-

nał przed księdzem i z głębokiem westchnieniem, rzekł do niego.

— Patrzajże ojcze na mnie, oto masz przed sobą starego bałamuta, któremu się zachciało na szósty krzyżyk wziąć nowe jarzmo. Wszak to ja, ojcie kochany, wczorajszego wieczora, ni z tego, ni z owego, pannie Ciwunównie się oświadczyłem formalnie, i zostałem przyjęty.

Reformat o mało nie wywróciwszy filiżanki, coby go pozbawiło kożuszka, rzucił się ku podczaszemu.

— Niechże pierwszy powinszuję i złożę życzenia moje.

— Cyt! ojcze, cyt! nie śpiesz się, ja tu jeszcze między Scyllą a Charybdą przepływać muszę, nim do tej Italji zawitam — smutnie ozwał się stary — Jakto Ewunia przyjmie! Co ona powie! Rumienię się, myśląc! Co ludzie dalej osądzą, może mnie wyśmieją! O nich to już mniejsza, mój ojcze, ale z dzieckiem, co począc z

dzieckiem... Jak do tego przystąpić!
Radź i benedykuj!

-- Panie podczaszy dobrodzieju,
nie potrzebnie zdaje mi się kłopotujesz
się zbytnio, dziecko dobre, posłuszne,
łagodne...

— Dobrze, złote, ale co łagodne,
ojcze! tego nie można powiedzieć.
uporek jest! o! jest! jak na kielki
weźmie! Z jakiej ja tu beczki z nią
pocznę! co powiedzieć? jak przystą-
pić?

— E! tyleby biedy było — szep-
ną reformat popijając kawę—ojciec...
czyż nie będzie wiedział, jak prze-
mówić do dziecka?

Podczaszy zamilkł, widocznie był
niespokojny.

— Bądź co bądź — dodał — darmo
to godzić, bez krzywdy dziecka stać
się to nie może, z majątku coś odej-
dzie. Wdowiec, żeniąc się z panien-
ką, muszę zapis uczynić. I zwyczaj
tego chce, i sprawiedliwość, i serce.

Zawsze się jej posagu uszczupli, a choćby dziś o to nie stała, kiedyś mi to wyrzucić będzie.

— Czyż majątek wszystkim—rzekł ksiądz.

— Prawdać to, ale i on znaczy w życiu. Samolubem się stałem, ale jak tę się oprzeć tym oczom kobiecym, kiedy poczną świdrować aż do głębi. Panna Marta, jakoś też się do mnie przywiązała, bo to tak prawie, jak sierota, siostrę ma, ale co z tej siostry. Rozczuliła mnie swym afektem i położyłem łapki przed nią. Słowo się rzekło, dziś cofać nie czas.

Chodził i wzdychał, aż się Reformat ulitował, przystąpił doń, uściśkał, uspokoił i tak go zostawił myśłom gorzkim, których pozbyć się nie mógł.

Do obiadu samego razy kilka już, już miał po córkę posyłać i wstrzymał się... odłożył. Właśnie pora nadchodziła, gdy podczaszy, chodząc po

sypialni, jak miał zwyczaj, gdy na rozum brał, ujrzał oknem toczący się wózek, ku dworowi wprost. Poznał po koniach i w ręce uderzył.

-- Dosyć, że to jest dokuka jakiejś świat nie widział — rzekł w sobie — i znowu go radę jedzie! Już mu radziłem przecie, żeby sobie czynił co chciał, a mnie pokój dać raczył — nie. Ot! chłopiec natrętny.

Tu stanął i coś pomyślał i wstrząsnął się, jakby nieprzyjemnego co połykał. A tuż i drzwi się zlekka otworzyły. Sykstus wszedł.

— Do nóg upadam pana podczaszgo dobrodzieja.

— Cóż znowu?

— No, mała rzecz... chciałem podać pod światły sąd mego dobroczyńcy...

— Dajże mi pokój z tym dobroczyńcą — ofuknął podczaszy — com ja ci kiedy uczynił dobrego.

— A! nad wyraz wiele...

Stary ramionami ruszył.

— Cóż tam znowu? co?

Wyjął z za kontusika papier Sykstus i położył go na stole.

— Cóż to jest?

— Kontrakt od cioci Żylińskiej na lat dwanaście, i proszę pana podczaszego, ułożyliśmy się tak, że sześćset talarów w gotowiznie płacić będzie, a resztę w naturze, leguminami, zbożem.

— Jakto? więc za 900 puściła?

— Sto mi darowała sama.

— Toś się w czepku urodził, mowanie — zawołał podczaszy. — Tylko że z babą, sekutnicą, kontrakt choćby najmocniejszy, zagryzie cię, gdy zechce, wyrzeczysz się i jego dzierzawy i cioci Dołhowoli.

Patrzył na kontrakt podczaszy, wziął go do okna, czytał i położył na stole.

— Winszuję — rzekł — gracz z asana, tylko bieda, że widzę gospo-

darstwa nie pilnujesz, jeździsz a jeździsz.

— Ja natychmiast do domu powracam.

Właśnie ruch się zrobił we dworze, bo podawano do stołu, podczaszy słyszał niosących wazę i nawołujących chłopców z kredensu i kuchni — odprawić w tej chwili choćby najbardziej natrętnego człowieka, było przeciwko obyczajom, bo i ubogi nie odchodził głodnym od progu, zamruczał więc pod nosem.

— Zostań już na obiad, zostań!

Z mowy znać było, że to czynił niechętnie. Sykstus wszakże przyjął to zaproszenie półgłębkiem z wielką pokorą. Służący właśnie otwierał drzwi i prosił do stołu.

Poszli więc. W sali, na widok Warki idącego za podчасzym, zarumieniała się Ewunia, ale pozdrowiła go zdaleka tylko. Natomiast panna Marta bardzo grzecznie się przywi-

tała i posadziła przy sobie, okazując mu szczególne względy.

— Bardzo to szczęśliwie, że pan tu przyjechałeś — rzekła głośno — ja, za pozwoleniem gospodarza, który mi tego nie zabroni, położę na waćpana areszt i dziś go zatrzymam. Mam bardzo pilnych kilka rzeczy do napisania i przepisania, a mówiono mi, że masz pan piękny charakter i przepisujesz prędko.

Podczaszy się skrzywił widocznie, lecz jak było odmówić bohdance. Sykstus naturalnie zaofiarował się bardzo chętnie. Przez kilka minut potem trwało kłopotliwe jakieś milczenie.

Ewunia oczyma dodawała otuchy chłopcu, który był spokojny, ale dosyć smutny. Rozmowa toczyła się o Dołhowoli, Rozdołkach, o cioci Zylińskiej i o rywalizacji OO. Dominikanów i Ks. Bernardynów, którzy zarówno starali się o łaski pobożnej

wdowy. Ksiądz Gula bronił swoich, a wogóle, co do ostatniego przedmiotu, rozpraw dłuższych nie dopuszczał. Pan Taszła, który doskonale znał okolicę, bardzo wychwalał Dołhowolę, i prorokował dzierżawcy, że przy dobrem gospodarstwie po leciech dwunastu kupić będzie mógł obie wioski.

— Tak! tak! wbijacie mu to w głowę — zamruczał podczaszy — chłopcu się będzie zdawało, że już posiadał złote góry i gospodarstwa zaniedba.

Ewunia drobiła chleb, słuchając i nie podnosząc głowy nawet.

Po obiedzie Sykstus prosił o robotę, dostał coś od panny Marty do przepisywania, ksiądz Gula mu pozwolił swojej izdebki i poszedł zaraz nie tracąc czasu. Nim podczaszy się zdrzemnął, już go nie było. Marta z Ewunią odeszły trochę na bok, bo gorąca miłość nie mogła powstrzymać podczaszego od snu poobiedniego,

choćby na pięć minut i stary trochę się w swem krześle przespał. Wprędce jednak przetarłszy oczy, poszukał niemi panny Marty, wstał i poszedł za nią. Ewunię właśnie powołała z kluczykami pani Kropiwnicka, ksiądz Gula grał z Taszlą w warcaby, zostali więc w końcu długiej sali tak, jak sam na sam.

Panna Marta nie opierając się wcale, dozwoliła rączkę uścisnąć i ucałować spragnionemu adoratorowi, i pochylając mu się do ucha, spytała:

— Proszę cię, kochany panie podczaszy, czy też nie uważałeś, że Ewunia coś bardzo czule spogląda na tego Sykstusika.

— Ah! niestety! — westchnął ojciec — taż to moja troska i niedola właśnie, iż się już od niemałego czasu tego dorożumiewam.

— Czy pan co ma przeciwko niemu? — spytała panna Marta.

— Jakto? wszystko! wszystko przeciw niemu, goły jak święty turecki, bo ta dzierzawa to jakiś blichtr, młokos... dependencik biedny od mecenasa Żółtkiewicza i żeby śmiał mi, aby pomyśleć o Ewuni! a...

— Zmiłuj się pan — przerwała Ciwunówna — chłopiec młody, ładny, rozgarnięty, dobrej familji, mnie się nie zdaje, żeby to miało być coś tak strasznego i dziwnego? A jeżeli Ewunia go kocha?

Podczaszy ręką machnął gniewnie.

— Jeżeli go kocha, to niech się przekocha, bo z tego nic nie będzie. Ewunia może sobie lepszego znaleźć męża.

— Tak, panie podczaszy, ale cóż jej przyjdzie ze świetniejszego małżeństwa, jeśli będzie nieszczęśliwą.

— To imaginacja — zawołał stary — młodej dziewczynie jeśli się uroiło...

— To pan w miłość stałą nie wierzysz? — zapytała Ciwunówna.

Padczaszy się splątał.

— Ale tam, bo miłości nie ma! to bajki! gdzie? zkąd?

— A ja panu powiadam, że jest! — odezwała się Marta. — Mam prawo dziś mówić z wami otwarcie. Ewunia mi się przyznała.

Podskoczył aż na siedzeniu stary.

— Przyznała się? jako?

— Pod przysięgą, że dochowam tajemnicy, ale ja dla was, dla mojego narzeczonego nie mogę mieć tajemnic. Przyznała mi się, że go kocha i zaklęła, że jeśli nie pójdzie za niego, to do klasztoru wstąpi.

Załamawszy ręce, siedział biedny podczaszy jak przybity.

— Wygnam tego łotra natychmiast z mojego domu — zawołał — niech mi się więcej na oczy nie pokazuje.

Ciwunówna pochwyciła go za rękę.

— Waćpan mnie zdradzisz! na mi-

łość Boską, a w takim razie ja słowo cofam i wyjeżdżam natychmiast.

— Ale cóż tu robić? powiedzże asindzka sama, co tu poczynać? Ja jej za niego wydać nie mogę.

— Zmiłuj się, kochany panie podczaszy, powoli, powoli pocóżeś młodego chłopca przez tyle lat do domu sprowadzał, trzymał go po dni kilka, dawał mu się zbliżyć do Ewuni, sam temu winien jesteś.

— A któż mógł aby pomyśleć o podobnem zuchwalstwie?— przerwał podczaszy — mógłżem przypuszczać, że on się ośmieli, że ona takiego hołysza... tfu!

— Ależ bo to i krewny wasz pono?

— Dziesiąta woda po kisielu, panno Ciwunówno, co za pokrewieństwo, moja babka a jego matka były sobie cioteczne siostry.

— I dobrego rodu.

— Co mi z tego rodu! — fukał stary — ja go nie chcę!

Milczenie przerwało rozmowę.

— Wiesz pan, kochany podczaszy — odezwała się Marta po namyśle — jeśli ja mam wniść w wasz dom, niechże na ten smutek i nieszczęście Ewuni nie patrzę. Nie zniosłabym obok mojego szczęścia, cierpień biednej dziewczeczki, którą kocham miłością siostry i matki. Jeżeli tak, to odłożmy nasze projekta, ja panu podczaszemu słowo jego powracam, i cofam moje, nie mogę.

Wstała panna Marta nagle, stary siedział osłupiały, jak rażony nagle piorunem, wyciągnął tylko nagle rękę.

— Panno Ciwunówno! na miłość Boga, proszę się zreflektować, pogadajmy, to tak być nie może, ja trzymam za słowo.

— Panie podczaszy — odparła Marta — wczoraj jeszcze, gdyś mi się wacpan dobrodziej był łaskaw oświadczyć, wcale o tem nie wiedziałam,

okoliczności inne były wcale. Zda-
wało się, że w domu tym znajdę po-
kój i szczęście. Pojmuje pan, że dziś
wobec grożących następstw tej niesz-
częśliwej inklinacji Ewuni a pańskie-
go wstrętu, byłoby z mojej strony
szaleństwem, wchodzić do domu, do
którego szczęścia wniesć nie mogę.
Obcej przypisywanoby wszystko. A!
nie! nie! przebacz mi pan — dodała
gwałtownie — nie mogę! nie mogę!

— Panno Ciwunównol królowo mo-
ja! — podchwycił, biorąc ją za rękę
podczaszy — na miłość Bożą! zakli-
nam, siadaj pani i pomówimy spo-
kojnie, z refleksją. Ja pierścień zarę-
czynowy przyniosłem! Ja się już zwie-
rzyłem Reformatowi, to nie może
być...

— Jeśli Ewa ma być nieszczęśli-
wą — powtórzyła Marta — to ja się
wyrzekam tego szczęścia, jakiego-
bym z panem podczaszym kosztować
mogła.

Stary spojrzał jej w oczy, zburzony, osowiały, niepewien co miał czynić, wahając się widocznie, gdy klask z bata dał się słyszeć i kolebka staroświecka zatoczyła się przed ganek. Podczaszy wstał, aby rozpoznać lepiej kto przyjeżdża, gdy tuż drugi, a za nim trzeci i czwarty i piąty powóz wjeżdżał już w dziedziniec.

— Daruj, asindźka — rzekł pośpieszenie, wkładając gwałtem pierścień na palec Ciwunównie — pomówimy o tem potem, goście! muszę iść.

A tu już i nie czas było wychodzić naprzeciw, bo podkomorzy ubrany odświętnie, przy szabli, za nim rejent, Machcewicz, Walek, Szczeppek, mecenas Żółtkiewicz, Bołtuszewski i osób sześć lub siedem jeszcze ze szlachty wtoczyli się uroczyście na salę.

Podczaszy był pomieszany, gdyż najazd ten bez oznajmienia, zwiasto-

wał coś nadzwyczajnego. Wszyscy byli poubierani, strojni, poważni i szli gromadą, jakby w jakim poselstwie. Gubił się w domysłach, co to mogło być, gdy podkomorzy, wiekiem najstarszy, postąpił ku niemu wielce uroczyście i po zwykłych pocałunkach i powitaniach, odstąpiwszy kroków trzy, chrząknął donośnie i począł.

— Szanowny panie podczaszy dobrodzieju, panie a bracie! Staję oto przed waszmością panem a bratem nie we własnem imieniu, przyodziały niejako funkcją wielką w imieniu obywatelstwa, w imię szlachty, umocowany przytem przez osobę sprawie, o której zaraz powiem, przez krew i kolligację najbliższą.

— Nie tajne są waszmości panu a bratu, losy pospolite familij naszych szlacheckich, które fortuna raz ku najwyższemu podnosi szczytom, to znowu, jakby na igraszkę strąca w nie-

dolę, by na nich siły swej a potęgi wypróbowała. Cóż więc trzyma *nobilitatem*, jeśli nie owa solidarność w złych i dobrych losach, która nie daje zapomnieć o braciach, choćby nieunikniony palec niedoli dotknął Winniśmy pamięć na zasługi przodków, opiekę nad potomkami. Tem uczuciem powodowana jaśnie wielmożna sędzina Lucyna z Brzeskich Żylińska, jedynemu siostrzeńcowi swemu panu Sykstusowi Warce Warczyńskiemu, wypuszczając swe dziedziczne Dołhowolę i Rozdołki w dwunastoletnią dzierżawę, a zarazem testamentem w grodzie oblatowanym czyniącego, po najdłuższem życiu onych włości dziedzicem, podniosła znowu do najpiękniejszej świetności godne Warczyńskich imię, zasłużone w powiecie, w ziemi naszej, w województwie, w ojczyźnie. W imieniu tej oto chwilowo złożonej słabością, jaśnie wielmożnej sędziny Lucyny z Brzeskich Żyliń-

skiej, *tandem* i w całego naszego obywatelstwa imieniu, przychodzimy w dziewosłąby do was, panie podczaszy. Sierocie bez ojca i matki, powiat służy za opiekuna, za ojca, za poręcz ciela, i całe obywatelstwo ziemi waszej, przezemnie do was zanosi prośbę, abys pan Sykstusowi Warczyńskiemu rękę córki swej, szanownej panny podczaszanki, nie odmawiał. Sercami kieruje Pan Bóg, miłość wielką powziął ten młodzieniec ku jasnie wielmożnej pannie podczaszance, lecz sierota, a wczoraj ubogi, ani śmiał, ani mógł paść do nóg Waszych, my to dziś wszyscy jak nas widzisz za niego czynimy! W imieniu starej przyjaźni, w imię pokrewieństwa, zaklinam cię...

. Podczaszy już płakał, wystąpienie całej szlachty *in gremio*, przemowa podkomorzego, wreszcie poprzednia z panną Martą rozmowa, złamały go.

— Mój mości dobrodzieju! — za-

wołał, rzucając się na szyję podkomorzemu — a któżby nie uległ takim słowom i takim prośbom i takim dowodom łaski jakiemi młodzieńca zaszczycacie. *Fiat voluntas vestra*, jeśli Ewunia za tem. Obejrzał się, a tuż stał Sykstus i Ewa, którzy mu do nóg się skłaniali, więc płakał stary, a błogosławił, a wołał — Wina! wina!

A w tejże chwili, gdy do piersi narzeczonyś przyciskał, którzy go po rękach całowali, jakby mu błyskawica po głowie przeleciała.

— Proszę o głos! — zawołał ocierając łzy — panowie a bracia, proszę o głos.

Cisza się stała wielka.

— Spełniłem wolę waszą, niech Bóg ich błogosławi, lecz mam prośbę, wysłuchajcie mnie cierpliwie. Córkę mi z domu ten niedobry chłopiec zabiera, mamże ja zostać sierotą? Pozwoliłem na małżeństwo, które

mnie okrada z jedyne go skarbu, czyż zgrzeszę, gdy skarbu innego poszukam? A oczyma wiodąc, innego nie znajduję, nad przytomną tu pannę Ciwunównę Martę Żyrowską, przed którą pokłękawszy, składam u nóg jej ofiarę serca mojego, prosząc, by nią nie wzgardziła.

Panna Marta chciała uciekać, Ewunia ją zatrzymała, obywatelstwo przytomne obsta piło. Jedni się śmiali, przyk łaskiwali drudzy, winszowali już inni, panna Ciwunówna podała rękę, którą Ewa położyła na dłoni ojca.

Podczaszemu, któremu łatwiej było pokłęknać niż powstać, podał rękę Sykstus, zerwał się rzeźwo, a tu już wołano: Vivat! vivat!

Podkomorzy jadąc, był już pewien, że mu się stary nie op ze, że szlachty prośby i zaklęcia złamią jego upór, a wreszcie cioci Żylińskiej wspa niałomyślność szalę przeważy, niko-

mu wszakże na myśl nie przyszło, iż stary podczaszy zwróci swe afektta do Ciwunówny i że panna Marta je przyjmie.

Radość tedy powszechna, ożywiona kielichami, nie mogła się rozejść bez uczty. Wysłano po kapelę do miasteczka, a że kilku sąsiadów brakło, więc i listy zapraszające bliższych, w których wszakże o niczem mowy nie było, prócz o wieczery i skrzypkach.

Zjawili się pod wieczór, chorąży Brdęski, niewiedzący wcale o zaręczynach Ewy i żywiony nadzieją, że hollenderska sukcesja, mimo niedo-
-wierzenia podczaszego, opór jego przełamię; a za nim państwo Przyrowowie z Dydakiem, który właśnie tegoż dnia otrzymał pozwolenie oświadczania się pannie Marcie. Sama jej nie znajdowała, że pocziwemu Dydakowi, osoba tak stateczna w życiu wielką być może pomocą. Dydak, jak

zawsze niedomyślny, zbliżył się do Ciwunówny, korzystając z powszechnego zaprzątnięcia i po chwili odezwał:

— Gdy panna Ciwunówna dobrodzieja pozwoli mi, to jabym coś powiedział.

— Bardzo proszę.

— Mama i papa pozwalają, żebym się panie Ciwunównie oświadczył, otóż ja się oświadczam.

Marta mu się rozśmiała w nos.

— W poręś się namyslił — rzekła — a wszakżem ja zaręczona!

— Z kim? — okrzyknął zdziwiony Dydak.

— Z panem podczaszym.

— Jak mamę kocham, oto osobliwsza rzecz! — rzekł Dydak — Jakto? dziś? kiedy ja się namysliłem?

— Niech to panu za naukę służy, żebyś się na drugi raz nie spóźniał i do jutra nie odkładał.

Biedny Dydaczyko westchnął, wes-

tchnęła i panna Marta patrząc na niego, bo chłopak był dobry, łagodny, głupawy, ale jakże go wygodnie za nos by było można prowadzić!

Tak samo chorąży dowiedział się, widząc Ewunię przy Sykstusie uśmiechniętą i szczęśliwą, że tu już hollenderska sukcesja nic nie pomoże. Zapił tę sprawę boleśnie.

Nikogo to nie dziwi, gdy powiemy, że zręczna rączka Ewuni i jej rady całą sprawą kierowały, chociaż skromne dziewczę do niczego się przyznać nie chciało.

Gdy wieczorem przyszedł bohdankę, przyklękając przed nią, pożegnać Sykstus, bursztynowa główka schyliła się do ucha i głosik wesoły szepnął:

— Ewa nie zdradziła!

KONIEC.

Biblioteka Raczyńskich

JIK2669



JIK2669